ŚWIATOWID

NR: 13

SZCZĘŚĆ BOŻE PRZY ŚWIĘCONEM.



Stary ojciec, gospodarz z Bronowic, z pod Krakowa, dzieli się jajkiem ze swojemi dziećmi, które przyjechały do niego na święta. Syn jest kapralem 8 p. uł. a córka kształci się w mieście. Z twarzy sędziwego gospodarza bije piastowska powaga. Zadowolony ze swoich dzieci i przejęty powagą chwili, życzy im szczęścia, zdrowia i wszelakiej pomyślności.

Ag. fot. „Światowida"

Wesoły nam dziś dzień nastał!

Z okazji Świąt Wielkanocnych składa redakcja „Światowida" wszystkim swoim P. T. Czytelnikom Współpracownikom i Przyjaciołom najserdeczniejsze życzenia Wesołych Świąt.

IMIENINY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.







Marszałek Piłsudski wedle swojego ostatniego zdjęcia przed wyjazdem do Egiptu. *Fot. L. Siemaszko — Wilno.*

Na lewo: Garnizon krakowski zebrany na Rynku przed defiladą w dniu 19 b. m.

Na prawo: Dnia 18 marca jako w przededniu imienin Marszałka Piłsudskiego odbył się w Warszawie capstrzyk orkiestr stacjonowanych w stolicy. Orkiestry te przeciągały przez miasto wraz z oddziałami, poczem udały się na dziedziniec Belwederu (na zdjęciu), gdzie gen. Osiński przyjął raport. *Ag. Fot. „Światowida".*

Tradycyjnym zwyczajem i tego roku uroczyście obchodzono w całej Polsce przypadające na dzień 19 marca imieniny Marsz. Józefa Piłsudskiego. Nie było zapewne ani jednego miasta, czy miasteczka, w któremby obchód ten nie odbył się, zarówno przy współudziale władz wojskowych i cywilnych, jak i szerokich sfer społeczeństwa. Wszędzie uroczystości uświetnione były przeglądem wojsk, przyczem publiczność mogła z pełnem zadowoleniem stwierdzić, że wyszkolenie naszej armji z roku na rok postępuje coraz bardziej i doszło już zarówno w wyćwiczeniu żołnierzy, jak i w zaopatrzeniu armji potrzebnym inwentarzem do tak wysokiego poziomu, że całe nasze społeczeństwo może z ufnością spoglądać w przyszłość, mając pewność, iż w razie potrzeby całość naszego terytorjum zabezpieczona jest ponad wszelką wątpliwość. Żywy był również współudział wszelakich organizacyj społecznych, pielęgnujących troskliwie i umiejętnie zasadę Przysposobienia Wojskowego, która i w czasie pokoju w najszerszych szeregach wyrabia karność i sprawność. Obok tych głównych obchodów odbyły się wszędzie uroczyste akademje, urządzane przez związki kulturalne i społeczne, w szerokiej mierze przez organizacje strzeleckie i akademickie, świadcząc niezbicie o tem, że i młode pokolenie zdaje sobie w całej pełni sprawę z wyjątkowego znaczenia, jakie zarówno w historji, jak i w teraźniejszości naszego życia państwowego i narodowego ma postać Józefa Piłsudskiego. Ku obecnemu miejscu pobytu p. Marszałka Piłsudskiego, ku Jego chwilowej rezydencji w Heluan w Egipcie szły niezliczone depesze z życzeniami dla Dostojnego Solenizanta.

PISANKI — WIELKANOCNE CUDA.



Pisanki ludu polskiego. Rząd górny od lewej: powiat radzymiński (wojew. warszawskie), Żabie (Huculszczyzna), powiat tarnobrzeski (wojew. lwowskie), Suwalszczyzna. Rząd dolny od lewej: Wileńszczyzna, powiat strzyżowski (wojew. lwowskie), Zaleszczyki (wojew. stanisławowskie).

Zapisał w swej kronice z XIII w. mistrz Wincenty Kadłubek, że Polacy zdawien dawna „bawili się swymi pany, jakby malowanemi jajkami". Godząc się na to stwierdzenie jednej z cech polskiego charakteru, zastanawia nas porównanie powyższe, będące najstarszą w Polsce wiadomością o pisankach. Czy pisanki były dawniej tylko zabawką? Czy robiono je tylko gwoli rozradowania oczu barwą i misternym rysunkiem ozdób?

Te zadziwiające precyzją i umiarem cacka, które dziewczęta wiejskie na przełomie wiosny kreślą woskiem na skorupkach jaj, sprawiają bezsprzecznie estetyczną rozkosz zarówno ich wykonawczyniom, jak i widzom, niemniej nie „wola artystycznego tworzenia" przywołała pisanki do życia w czasach, kiedy jeszcze nie było Polski i Polaków. W pisankach odkrywamy dziś nietylko nieprzebrany skarbiec prastarych ornamentów, których źródła sięgają praczasów, ale i formy zamierzchłych obrzędów i zwyczajów.

Gdyby zapytać się ludu, dlaczego z nastawaniem świąt Wielkanocy ślęczą dziewczęta i kobiety nad wykonywaniem pisanek, kraszanek, malowanek, farbianek, ałunek, pisków, byczków, sroczek, kruczków — czy jak tam jeszcze zwie się malowane jaja — otrzymamy jedynie legendę. A więc apokryf o tem, jak to Pan Jezus, jako mały chłopczyna, otrzymywał od Matki skorupki z jaj i malował je dla zabawy. Na tę pamiątkę mają ludzie robić pisanki. Opowiadają też, że Matka Boska, chcąc wyprosić Swego Synaczka od śmierci, złotym pisakiem, jak tylko najpiękniej umiała, upisała jaja i zaniosła je w darze Piłatowi. Kiedy jednak dowiedziała się, że przyszła już za późno, padła zemdlona na ziemię, a wtedy pisanki Jej rozsypały się po całym świecie. Mówią, też, że niewiasty jerozolimskie przyniosły Piłatowi pisanek na wykup ciała Chrystusa, że kamienie, któremi rzucano na Chrystusa podczas krzyżowej drogi, przemieniały się w piękne kraszanki, że św. Łucja, dowiedziawszy się o zmartwychwstaniu Chrystusa, wyraziła Mu swą radość kosztem pisanek. Więc na te to pamiątki robi lud pisanki, a jak długo to czyni — mówią legendy — antychryst, skuty w piekle łańcuchami, nie zdoła zawojować boskiego świata. Huculi wierzą, że gdyby „pisanczarki" zaniechały tego chrześcijańskiego zwyczaju, najstarszy czart, „Irod", opuści czeluście piekielne i wtedy nastąpi koniec świata.

Te to fantazją osnute legendy, które dawnym tradycjom nadają wiele żywotnej siły, nie są oczywiście niczem więcej, jak tworem ludowej etjologji, tworzącej gotowe przyczyny do przeżytkowych faktów, spuścizny dawnej, pogańskiej kultury. W poszukiwaniu pierwotnego znaczenia pisanek sięgamy do dawniejszych źródeł, niż chrześcijańskie — do kultu Izydy w Egipcie, Kastora i Poluksa w Rzymie, kultu Donara u Germanów, obrzędów w starożytnych Indjach i Grecji, zwyczajów w średniowiecznej Francji i Hiszpanji, a przedewszystkiem ludowej wierzeniowości, konstruowanej z rozprószonych faktów, zawsze dostępnych tym, którzy widzą w ludzie odbicie kolei wieków.

Jajo, jako źródło życiowych sił, które z jego wnętrza wydobywają się, było od wieków symbolem urodzaju, a jednocześnie magicznym środkiem wywoływania plenności ziemi. Czarodziejskiemi mocami, tkwiącemi w niem starał się człowiek prymitywny zasilić rodne siły ziemi, zakopując jaja w rolę, lub mieszając ich skorupki z zasiewem. Tym sposobem siłę rodzajną jaja przelewał w ziemię. W chwili, kiedy z wiosną w przyrodzie zaczynają budzić się twórcze siły do nowego życia, zdobi lud skorupkami z jaj wiosenne fetysze urodzaju: zielone, strojne drzewka, zwane „maikami", które dziewczęta obnoszą po chatach.

Jajo przynosi szczęście, odwraca uroki od drzew owocowych, odpędza czarownice od bydła, zabezpiecza ludzi przed złemi mocami, a wreszcie jest „darem dla umarłych".

Jeśli więc widzimy rózgi weselne, czy wieńce dożynkowe lub wiosenne maiki, strojne w malowane skorupki z jaj, jeśli dziewczęta opoczyńskie dają upatrzonym kawalerom kraszanki, wierząc, że „krasonki wabiom wściuboski", tj. pierścionki zaręczynowe, jeśli hucułki w „didową subotę" po Wielkanocy składają pisanki na grobach — to w tych zwyczajach przejawiają się rysy pierwotne znaczeniowości pisanki, która dzisiaj zeszła do roli pięknej, miłej zabawki.

Ciekawe rodowody snućby można, wpatrując się w zdobnictwo pisanek: w te drzewka, tajemnicze krzyże, wielopromienne słońca, gwiazdy, pajączki, rózgi i tysiące przeróżnych form, wśród których nierzadki jest też znak swastyki, czyli jak mówią pięknie nasi górale, „jarzenicy", znak jarzącego się ognia.

Najdawniejsze „kraszanki" lub „farbienki" były to jaja, ubarwione jednym roślinnym barwikiem. Z nich wyłoniła się najwięcej stylowa forma batikowanej pisanek, której wykonanie polegało na zanurzaniu we farbie jaja, ale uprzednio „zapisanego" ornamentem, przy pomocy nakapywania wosku rynienkowatem narzędziem ze zgiętej blaszki. Upadek techniki pisankowania znamionują nowoczesne „skrobanki", tj. jaja na jeden kolor ubarwione, na których ornament wyskrobano mozolnie igłą.

W naszych muzeach krajoznawczych i etnograficznych zebrane są setki i tysiące pisanek. Każdy z tych zbiorów jst ilościowo ubogi wobec gór pisanek, jakie w XVIII w. zdobiły jedno staropolskie święcone u ks. Sapiehy w Dereczynie w pow. słonimskim. Było tam strojnych we „floresy" i „inskrypcje" 8760 pisanek, tj. tyle, ile godzin w roku.

Dr. Tadeusz Seweryn.



GARŚĆ WSPOMNIEŃ LEGJONOWYCH O ŚP. BISKUPIE DR. WŁADYSŁAWIE BANDURSKIM

Świeża mogiła pokryła zwłoki Największego Patrjoty duchownego, jakiego posiadała Polska jeszcze w okresie zaborczym.

Zbrakło wśród nas tego Świętego Rycerza, który ukochał naszą ojczyznę całą swą wielką i szlachetną duszą, a widząc odzyskanie Jej wolności i ugruntowanie bytu w żołnierzu polskim, umiłował go głęboko i oddał się mu całem sercem.

Po powstaniu Legjonów rychło pojął i ogarnął ogromem swego nieposlednieg rozumu ważność myśli twórczej Józefa Piłsudskiego i był Jego gorącym wyznawcą i zwolennikiem.

Umiłował całą duszą żołnierza legjonowego i otaczał go swą światłą opieką na każdym kroku, a pobyt wśród braci legjonowej zaliczał do najmilszych chwil swego skromnego, pracowitego żywota. — Wyczuli też Legjoniści w tej szlachetnej, pięknej postaci kapłana polskiego ogrom uczucia, jakiem ich otaczał i odpłacali Mu sercem za serce, czcząc Go niemal jako Świętego.

Niesłychana dobroć i słodycz w obejściu czyto w zetknięciu się z szarym tłumem żołnierskim, czy też z gronem oficerskiem, zjednały Mu Legjonistów szczere przywiązanie, a gorące, młode serca biły przyśpieszonem tętnem na widok „swego Patrona“, jak Go powszechnie nazywano.

To też niezapomniane i niczem niezatarte w pamięci pozostaną chwile Jego między nami pobytu na froncie, który często odwiedzał, nie pomny długich, męczących podróży i związanych z nią niewygód i niebezpieczeństw. Pobyt Jego wśród nas był niejako uroczystem świętem — przyjmowano Go też po królewsku i oddawano hołdy i honory, jak najwyższemu dostojnikowi. W różnorodnym kalejdoskopie przeżyć legjonowych najsilniej utkwił mi w pamięci pobyt ks. Biskupa Bandurskiego między nami z końcem maja 1916 roku z okazji uroczystości, jakie się odbywały na pozycjach 4-go pułku piechoty Legjonowej z powodu rocznicy powstania tego pułku.

Był to okres tak zwanego spokoju przed burzą, okres, w którym się wyczuwało wiszącą w powietrzu jakąś wielką zawieruchę — a przeczucia nie zawiodły, bo tuż po tych uroczystościach i po wyjeździe gości, jacy razem z ks. Biskupem Bandurskim zjechali, rozpętała się w pierwszych dniach czerwca znana ofenzywa Brusiłowa, która tyle krwawych ofiar przysporzyła Legjonom. Czwarty pułk piechoty Leg. zajmował pozycję nad Styrem pod miejscowością Optową, a przebywając dłuższy czas na tych pozycjach, rozbudował się i urządził wspaniale. Znajdowała się tam w lesie tuż za okopami pamiętna kaplica, wybudowana w stylu podhalańskim, według pomysłu dzisiejszego generała, a ówczesnego zastępcy dow. pułku mjra Galicy Andrzeja.

Po rannem uroczystem nabożeństwie, odprawionem w asyście kapelanów legjonowych w tejże kaplicy, wygłosił ks. Biskup Bandurski przed zgromadzonym całym pułkiem i delegacjami wszystkich oddziałów Legjonowych płomienne, porywające kazanie.



Ks. biskup Bandurski, przemawiający do legjonistów po nabożeństwie w kapliczce 4-go pułku piechoty legjonowej na pozycjach nad Styrem w dn. 28-go maja 1916 r. Po prawej stronie widoczni: gen. Roja, dowódca 4. p. p. legjonowej i gen. Trzaska-Durski, dowódca 2. brygady Legjonów. *Ze zbiorów dra Korolewicza.*

Ks. Biskup Bandurski w ciągu paru dni swego pobytu przemówił kilka razy, a święte słowa, płynące ze złotodajnych ust znakomitego kaznodziei, wrywały się głęboko w serca. Uroku niezapomnianego wrażenia dodawał piękny słoneczny dzień majowy, a nastrojową głęboką ciszę przerywał od czasu do czasu huk armat nieprzyjacielskich.

Ks. Biskup odwiedził prawie wszystkie oddziały, rozlokowane w okolicy. Między innymi bawił również w zakładzie sanitarnym Leg., położonym w lesie pod miejscowością Wołczesk. Śpieszył bowiem zawsze ze słowami pociechy i ukojenia do cierpiących chłopców i ciepłem, przepojonem dobrocią i troską słowem, koił chorym bóle i cudownie ich nieraz uzdrawiał.

Nie zapomnę zwłaszcza jednego momentu, który mi utkwił głęboko w pamięci podczas odwiedzin przez ks. Biskupa Bandurskiego baraku dla ciężko rannych. Leżał tam 18-letni wątły chłopak, żołnierz 3-go pułku piechoty Legjonowej z postrzałem brzucha, w stanie bardzo ciężkim, zdawało się nie do uratowania. Mówić nie mógł, tylko ująwszy rękę ks. Biskupa z niemą, jakąś niewyraźną prośbą, przycisnął ją do swych ust spieczonych, a błędne oczy jego napełniły się bolesnemi łzami. Ks. Biskup Bandurski nachyliwszy się nad nim, cichym szeptem wlewał w niego święte słowa otuchy i pociechy, pod wpływem których rozjaśniało się oblicze chorego, a zamiast wyrazu bólu, jakaś dziwna błogość i pogoda rozlała się na twarzy cierpiącego. I rzeczywiście, chory ten wyszedł cało, a wyzdrowienie swe przypisywał cudownym mocom „Świętego ojca Biskupa“.

Tak, jak ukochał żołnierza Legjonowego, tak samo głęboko w swem sercu umiłował żołnierza polskiego już w wolnej niepodległej ojczyźnie. Z całą ochotą i radością udawał się na wszelkie uroczystości pojedyńczych oddziałów wojskowych i krzepił serca porywając swym darem wymowy, nawołując do pracy nad utrwaleniem potęgi państwa i bezgranicznem oddaniem się miłości Ojczyzny.

To też nieocenioną stratę, jaką przez śmierć Jego ponieśliśmy, długo jeszcze opłakiwać będziemy. Pamięć o tym umiłowanym Najwyższym Dostojniku płonąć będzie w naszych sercach wiecznym zniczem, a jasny i potężny płomień jego podsycany niczem niezatartemi wspomnieniami rozgorzeje na długie lata w przyszłe pokolenia.

B.

PRZED ZMIANĄ USTAWY O ORDERZE „BIAŁEGO ORŁA“



Najwyższą odznaką honorową w Polsce jest order „Białego Orła“, ustanowiony w r. 1921 a wzorowany na orderze „Orła Białego“ z czasów Saskich (1713 r.). Zdjęcie przedstawia portret króla Stanisława Augusta pendzla Bacciarellego. Na szyji króla widoczny jest łańcuch „Orła Białego“ z Krzyżem.

Obok: Projekt łańcucha orderu „Orła Białego“.

Rząd wniósł do Sejmu w dniu 11 lutego b. r. projekt nowelizacji ustawy z 4 lutego 1921 roku o orderze Orła Białego, będącego najwyższem odznaczeniem, jakiem rozporządza Polska.

Główną zmianą, wprowadzoną przez ten projekt jest ustanowienie łańcucha orderowego. Łańcuch ten będzie odznaką Wielkiego Mistrza Orderu, którym z urzędu jest Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Będzie mógł być również nadawany obcym naczelnikom państw, czem powiększona zostanie skala najwyższych odznaczeń, nadawanych przez Rzeczpospolitą obcym dostojnikom. W dotychczasowej praktyce bowiem oprócz obcych naczelników państw otrzymywali order Orła Białego książęta krwi, kardynałowie, obcy premjerzy i ministrowie spraw zagranicznych. Łańcuch Orła Białego będzie ścisłem odtworzeniem historycznego wzoru z XVIII-go wieku, przechowywanego obecnie na Zamku królewskim w Warszawie, a noszonego przez króla Stanisława Augusta; składać się będzie z orłów biało emaljowanych, połączonych naprzemian emaljowanemi medaljonami owalnemi z wizerunkiem Matki Bożej i takiemiż medaljonami z monogramem „Maria“. Projekt przewiduje, że ilość łańcuchów będzie ograniczona do liczby 24; po śmierci odznaczonych łańcuchy zwracane będą przez spadkobierców kapitule orderu, są one bowiem klejnotami Rzeczypospolitej. Do łańcucha przywiązane jest noszenie gwiazdy orderowej złotej, noszonej również w okazjach mniej uroczystych; projekt wznawia ją również według wzoru historycznego z XVIII w.; gwiazda srebrna, dotychczas istniejąca, będzie przysługiwała w dalszym ciągu kawalerom orderu, nie odznaczonych łańcuchem.

X.



Gwiazda orderu „Orła Białego“.



Krzyż orderowy „Orła Białego“.

WIELKANOC ZWYCZAJE I ZNACZENIE.

Chrystus zmartwychwstający, rzeźba średniowieczna z Muzeum Narodowego w Krakowie.

Po dniach smutku i żałoby w Wielkim Tygodniu, następuje dzień radości i wesela — dzień Zmartwychwstania.

Wielkie to święto jest zwycięstwem sprawiedliwości i prawdy nad fałszem i obłudą. Po strasznej ofierze i poświęceniu się dla zbawienia ludzkiego, Bóg-człowiek powstał z martwych, by dać świadectwo prawdzie przez siebie głoszonej.

I dlatego mógł św. Paweł, Apostoł narodów, głosić całemu chrześcijańskiemu światu, że „gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, próżnaby była wiara nasza".

Zmartwychwstanie Chrystusa, to według powyższych słów św. Pawła, fundament wiary naszej.

Z tego więc powodu należy Wielkanoc, obok świąt Bożego Narodzenia, do uroczystości, obchodzonych w Polsce nader uroczyście. Polacy, jako naród katolicki, radują się wielce tem świętem i tę radość głośno objawiają w obrzędach i zwyczajach z tem świętem złączonych.

Przepiękne jest rozpoczęcie Wielkanocnego święta, zwane „Rezurekcją", która się odbywa w większych miastach w Wielką Sobotę, o wieczornej godzinie, a po wsiach i miasteczkach zazwyczaj przed świtem w samą Niedzielę Wielkanocną.

Główną częścią „Rezurekcji" jest trzykrotna koło kościoła lub we wnętrzu świątyni procesja, w której biorą udział zazwyczaj liczne rzesze pobożnych wszystkich prawie stanów z radosną pieśnią na ustach: „Wesoły nam dziś dzień nastał" — a której każda zwrotka kończy się triumfalnem i radosnem „Alleluja!" „Alleluja!"

„Rezurekcja" — to obrzęd czysto kościelny, religijny. Inne obchody, względnie zwyczaje wielkanocne, mają już formę napół religijną lub wyłącznie narodową.

Do pierwszych należy „Święcone", które urządza u siebie każda choćby najuboższa rodzina polska.

Po długim czasie postu zasiadają wszyscy członkowie rodziny do wspólnego stołu i spożywają potrawy, przeważnie mięsiwa i ciasta, poświęcone przez kapłana.

Na początku uczty dzielą się wszyscy **„jajkiem" święconem,** życząc sobie nawzajem zdrowia i wszystkiego najlepszego.

Dzień pierwszy święta Wielkiejnocy poświęcony jest zazwyczaj rodzinie, natomiast poniedziałek jest dniem towarzyskich wzajemnych odwiedzin, częstowania się „Święconem" — i dniem zabaw.

Różne bywają te zabawy, zwłaszcza u ludu. Niektóre poszły już w zapomnienie, niektóre utrzymały się do dni naszych.

Pierwsze miejsce między temi, których tradycja stale się utrzymuje od kilku wieków, należy się prastarym zabawom krakowskim, a są niemi „Emaus" i „Rękawka".

„Emaus" — to zwykłe święto odpustowe. W drugi dzień świąt Wielkiejnocy każdy szanujący się mieszczanin, rękodzielnik i robotnik krakowski spieszy do kościoła Panien Norbertanek na Zwierzyńcu, gdzie odbywa się odpust.

Dziesiątki bud i kramów zajmują obie strony gościńca, wiodącego ku Zwierzyńcowi, a fale ludzi zażywają pełną garścią rozkoszy odpustowych.

Drugim wielkanocnym krakowskim obchodem, uświęconym także wiekową tradycją, to „Rękawka". Odbywa się ten obchód we wtorek wielkanocny na Krzemionkach, u stóp kopca „Krakusa".

O przeszłości „Rękawki" pisze Łukasz Gołębiowski w swem dziele „Lud polski" te oto słowa:

„Trzeciego dnia świąt wielkanocnych, to jest we wtorek, jest w Krakowie obchód „Rękawki", którego powodem miłość i wdzięczność".

„Ponad przedmieściem Podgórze, na prawym brzegu Wisły, wznoszą się góry skaliste, nazwane „Krzemionkami", przy nich kopiec, czyli mogiła „Krakusa". Kochali go poddani i na grób wodza, łzami skropiony, tysiące rąk znosiło po garstce ziemi z różnych części krainy, w czem kto mógł, w rękawach od sukni czy koszuli związanych. Stąd powstała mogiła Krakusa i wspomnienie „Rękawki".

O zabawach i igrzyskach, urządzanych podczas „Rękawki", pisze dalej Gołębiowski, że „bywały w użyciu zapasy ludzi i młodzieży szkolnej na „palcaty". Dziś tylko jeden zwyczaj dość zabawny istnieje. Tłumy chłopców miejskich i wiejskich trzymają od rana w oblężeniu podnóże i część góry, na której wznosi się kaplica. Stąd im bywają rzucane orzechy, jabłka, bułki, pierniki, gotowane jaja i t. p. rzeczy, za któremi na złamanie szyi spycha jeden drugiego na dół".

Przejdźmy teraz do wielkanocnych zabaw ludowych. Najpowszechniejszą zabawą ludową, urządzaną w poniedziałek wielkanocny, jest „Śmigus", albo „Dyngus", polegający na wzajemnem oblewaniu się wodą.

Stary to obyczaj, niewiadomo skąd początek swój biorący. Jedni piszą, że sięga on czasów żydowskich, gdy to faryzeusze, nie mogąc znieść opowieści uczniów Chrystusowych o Jego zmartwychwstaniu, rozpędzali ich, lejąc na nich wodę.

Inni twierdzą, że zwyczaj ten zakorzenił się, jako pamiątka zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce, kiedy to odrazu chrzczono i oblewano wodą całe gromady ludu, przyjmującego Chrzest święty.

Równocześnie z „dyngusem" — i tegoż samego dnia urządzają wiejskie dziewczęta obchód z „gaikiem". Robią ten „gaik" z gałązek drzew i krzewów, okrytych drobniutkiemi listkami lub srebrzystemi baziami, które już porozwijała młoda wiosna. Do tych gałązek wtykają dziewczęta pierwsze wiosenne kwiatki, stokrótki, podbiał, śnieżyczki, potem z tym pstrym i wonnym „gajem" idą do dworu, od chaty do chaty, stają gromadą u wrót, wysuwają naprzód gaik i śpiewają:

„Przysłyśmy tu po dyngusie,
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Jezusie i Maryji.
Dajcie nam co gospodyni!"

Wszędzie, gdzie się zjawiają dziewczęta z „gajem" i z pieśnią, witane są radośnie i obdarzane jajami, kołaczami i mięsiwem. Dziewczęta obdarowane szczodrze, składają te wszystkie zapasy razem, gromadzą się wieczorem w jednej chacie, zapraszają mieszkańców wioski na „święcone" i bawią się wesoło i raźnie.

W innych okolicach istniał zwyczaj, że nie dziewczęta, lecz chłopcy szli z pieśnią od chaty do chaty i nie z „gaikiem", lecz z „koguntkiem", zrobionym sztucznie z drzewa i przybranym w pióra kogucie.

Gdy drużyna kogucia zatrzymała się przed dworem, plebanją lub chatą, „kogutek" piał różnemi głosy, a to krzykliwe pianie i wesoły gwar sprowadzały mnóstwo ciekawych. Wtedy głosy kogucie milkły, natomiast rozbrzmiewała pieśń radosna:

„Przyszliśmy tu po dyngusie" i t. d.

Drużyna kogucia była również mile witana i obdarowywana, a uzbierane tym sposobem „święcone", spożywano wieczorem wesoło przy wspólnej zabawie.

Obraz zwyczajów i zabaw wielkanocnych nie byłby zupełny, gdybyśmy tu nie wspomnieli jeszcze o „pisankach", które w niektórych okolicach nazywają „kraszankami" lub „malowankami".

Nazwy te oznaczają jaja wielkanocne, malowane w przeróżny i nieraz w artystyczny sposób.

„Pisankami" zdobi się nietylko „Święcone" — używają ich też do zabaw. W wielu miejscach pisankami wykupują się dziewczęta chłopcom od „śmigusu". Chłopcy robią „pisankami" zakłady, uderzają wzajem swoje „pisanki", a która się prędzej stłucze, ten przegrywa. Ten sam zwyczaj istnieje też u Czechów.



Fragment z procesji rezurekcyjnej w Warszawie.

Na prawo: Niezapomnianą jest ta chmila, gdy w dzień Zmartwychwstania rozdzwoni się Zygmunt Stary, dzwon królewski.



Sprzedaż baranków na rynku w Krakowie.



W pierwszy dzień po świętach Wielkanocnych cały Kraków spieszy na Krzemionki, gdzie u stóp kościółka św. Benedykta odbywa się t. zw. „Rękawka". Zdjęcie przedstawia zabawy ludowe na Rękawce.

W Wielki Piątek i Sobotę pobożna publiczność obchodzi Boże groby. Zdjęcie przedstawia wspaniałą dekorację grobu Zbawiciela w kościele Karmelitów w Warszawie.

HOSANNA SYNOWI DAWIDOWEMU.



Chrystus wjeżdżający na osiołku w niedzielę Palmową do Jerozolimy. Rzeźba z początku XVI-go wieku w Muzeum Narodowem w Krakowie.

Ag. fot. „Światowida"

Chrystus na osiołku

rzeźba z Muzem Narodowego w Krakowie.

Przez wąską ulicę średniowiecznego miasta płynie procesja. Bractwa kościelne, zakony, cechy z oznakami swych godności, wójt w otoczeniu łuczników, uzbrojonych w miecze, rajcy i ławnicy, a wreszcie wielki tłum pospólstwa. Twarze pełne skupienia i powagi, w rękach „palmy", niemniej piękne od prawdziwych, choć wyrosłe w pobliskim lesie i w łozinach nad rzeką. Surmacze i piszczkowie w pstrych szatach poddają ton na swych instrumentach i z tłumu wybucha nagle pieśń żarliwa i gorąca. W pośrodku gęstwy ludzkiej widnieje postać Chrystusa. Siedzi na oślicy wyprostowany, pełen majestatu, patrząc dobrotliwie przed siebie. Prawa ręka podniesiona do błogosławieństwa, lewa trzyma wodze. Suknia czerwona, obszerna i długa spada w bogatych fałdach ku ziemi, osłaniając bose stopy.

Rzeźba, przedstawiająca Chrystusa, osadzona jest na małym wózku. W narożnikach wózka tkwią balasy, podtrzymujące zawieszony nad głową Zbawiciela złocisty baldachim.

Zwyczaj obwożenia w niedzielę palmową rzeźby przedstawiającej Chrystusa na osiołku, kultywowany był w Szwajcarji i Alzacji, w wielu prowincjach niemieckich, w Austrji, Rosji i w Polsce.

W Rosji przetrwał ten zwyczaj do w. XVIII, w niektórych miastach niemieckich kultywowano go jeszcze w wieku XIX. Rzeźby przedstawiające Chrystusa na osiołku wyszły po większej części z pod dłóta rzeźbiarzy średniowiecznych i wczesnorenesansowych, niekiedy b. wybitnych. Tak np. zachowane dotąd w Ulmie i Wettenhausen są dziełami Hansa Multschera. Zabytków tego rodzaju zachowało się zagranicą niewiele. Trzy z nich posiada m. in. słynne muzeum germańskie w Norymberdze, jedna znajduje się w Monachium, inna znów w zamku Kreuzenstein.

Rzeźbę przedstawiającą Chrystusa na osiołku posiada również krakowskie Muzeum Narodowe. Cięta w drzewie lipowem, polichromowana, wysoka na przeszło półtora metra, pochodzi z przełomu wieku XV na XVI. Jest ona pięknym przykładem sztuki rzeźbiarskiej tego okresu, przykładem w Polsce bardzo rzadkim. Spotkać wprawdzie można w Polsce fragmenty podobnych przedstawień — rzeźba jednak podobnie zachowana, jak w krakowskiem muzeum, prawie że nieuszkodzona i osadzona na wózku pierwotnym jest w Polsce zabytkiem wyjątkowym, posiadającym bodajże tylko jednego jeszcze towarzysza w rzeźbie mającej dawniej znajdować się w klasztorze Klarysek w Nowym Sączu.

Dzieło z Muzeum Narodowego, które stworzył, jak widać, nieprzeciętny artysta, pochodzi z Szydłowca i dostało się do Muzeum z zapisu ks. Michała Radziwiłła.

W Krakowie istniał również wyżej opisany zwyczaj procesyj z Chrystusem na osiołku. Dochował się on w djecezji krakowskiej do roku 1780 (jak podaje Kieszkowski w dziele pt. „Kanclerz Szydłowiecki"). Wtedy to władza duchowna zabroniła „obwożenia P. Jezusa na osiołku po kościele, gdyż gawiedź pozwalała sobie przy tej sposobności na różne wybryki".

Dodać należy, że przedstawienie Chrystusa wjeżdżającego na osiołku w bramy Jerozolimy, jest tematem, napotykanym bardzo wcześnie w sztuce chrześcijańskiej. Pojawia się już na sarkofagach starochrześcijańskich. Schemat pierwotny wzbogaca się z biegiem wieków coraz bardziej.

Zazwyczaj jednak przedstawionym jest Chrystus jadący na osiołku w otoczeniu apostołów i tłumu w chwili, jak zbliża się do bram Jerozolimy. Z bram tych wychodzi lud na powitanie Pana, rzucając palmy pod Jego nogi. Nie brak i drzew palmowych, na których widać mężczyzn i chłopców, zrywających gałęzie i rzucających je na ziemię. Ten ogólnie podany schemat pozostał po dziś dzień prawie że nie zmieniony.

K. Buczkowski.

WIELKI TYDZIEŃ W SEWILLI.

„Kto nie widział Sewilli — nie widział cudu" — mówią Hiszpanie. I poniekąd mają słuszność, Sewilla bowiem, to piękny ogród hiszpański, rozsiadły malowniczo nad brzegami złocistego Gwadalkwiru, to siedlisko sztuki i piękna, a nadto miasto ze wszystkich miast hiszpańskich najbardziej pobożne i hołdujące odwiecznym tradycjom wiary przodków.

W Tygodniu Wielkim, zwanym „tygodniem świętym", napływają do Sewilli z różnych prowincyj nieprzejrzone rzesze pątników ze wszystkich sfer społeczeństwa, zjeżdżał też do czasu trwania monarchji, król z rodziną i całym dworem. Alfons XIII miał bowiem tytuły: „króla jerozolimskiego" i „króla Sewilli".

Ceremonje upamiętniające Mękę Pańską rozpoczynają się w Wielką Środę. Wszystkie kościoły obite są kirem, a „Ciemną Jutrznię" śpiewa duchowieństwo przy zupełnie zamkniętych oknach. Żałoba powszechna. Publiczność przywdziewa czarne stroje.

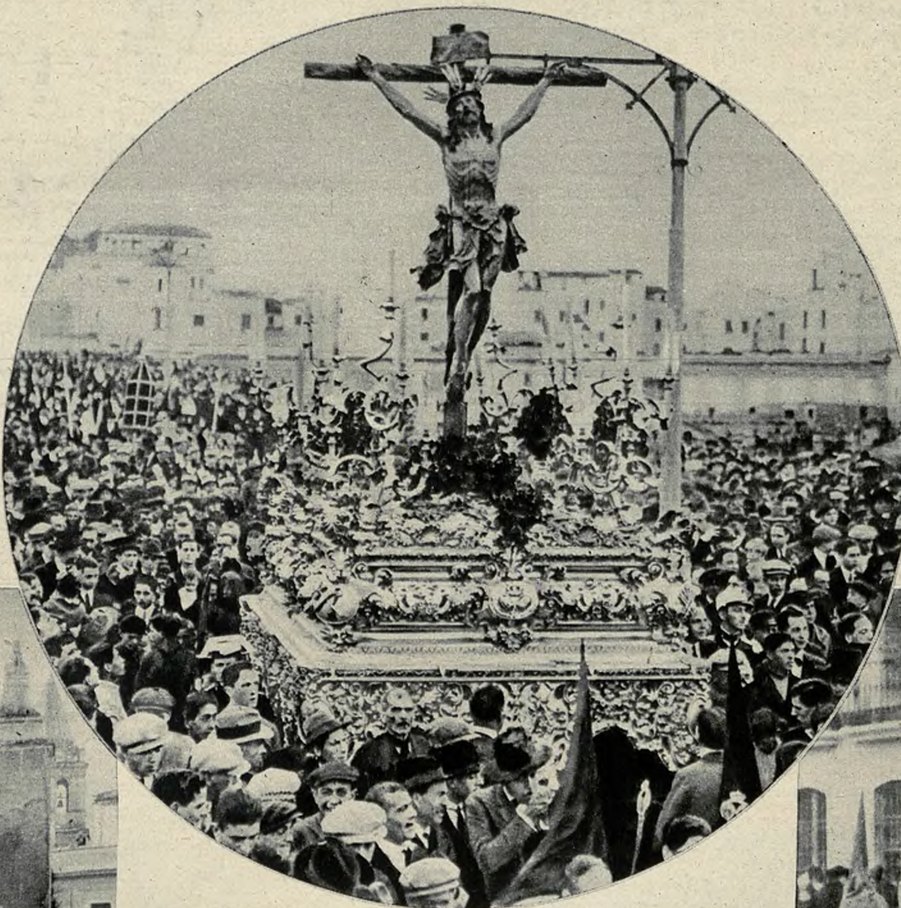

Jedna ze Stacyj Męki Pańskiej, niesiona jako feretron w uroczystej procesji wielkotygodniowej w Sewilli.

Obrzędy trwają długo, bo od godziny 4-ej popołudniu do zmroku. Wspaniałe, majestatyczne śpiewy przypominają podobne ceremonje w Rzymie w kościele św. Piotra i w bazylice Lateraneńskiej. Lamentacje tak wzruszają pobożnych, że gdy chór śpiewa je po łacinie: „Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana, Boga twojego", słychać głośne łkania wśród tłumów.

Do najwspanialszych jednak ceremonij kościelnych w Sewilli należą procesje: wielkoczwartkowa i resurekcyjna. — Nieprzejrzane rzesze uczestniczą w imponującym pochodzie przez miasto.

Na czele kroczą muzykanci grający na małych fletach i dobosze w uniformach białych, galonowanych purpurą. — Dalej kohorta rosłych żołnierzy rzymskich, za nimi chóry śpiewające psalmy.

Potem widać olbrzymie rydwany z platformami, a na nich grupy mistyczne, jak: Jezus upadający pod krzyżem, niewiasty Jerozolimskie, św. Weronika, biczowanie, zdjęcie z krzyża itd.


Stary, powszechną czcią otaczany Krucyfiks, główny punkt procesji sewilskiej. C. Delius — Nice

Procesja odbywa się nocną porą. Uczestnicy pochodu niosą długie świece woskowe. Dokoła rydwanów kroczy służba kościelna i członkowie bractw z wielkiemi ozdobnemi latarniami na żerdziach. — Obok duchowieństwa niosą płonące pochodnie. Lud rozmodlony śpiewa wśród szmeru palm i łagodnego powiewu, jaki zalatuje od brzegów Gwadalkwiwiru. Jakaś tajemnicza poezja jest w tem wszystkiem...

Wśród tłumu widać liczne zastępy pokutników i pokutnic. Są w ich gronie i dzieci ludu i potomkowie starych rodów. Idą bez obuwia, z obnażoną głową i we włosienicach. Wargi szeptają modlitwy, a wzrok ich zapatrzony w krucyfiks lub czaszkę, która świadczy wymownie, że na tym świecie wszystko jest marnością nad marnościami.

Przed arcybiskupem, który idzie w środku procesji, niosą krzyż z kutego srebra. Arcypasterz błogosławi rzeszom, które się skłaniają na kolana, jak łany zboża pod powiewem wiatru.


Tłumny udział ludności miejscowej i przybyszów w procesji wielkotygodniowej. C. Delius — Nice.

Procesja rezurekcyjna odbywa się w Sewilli w Wielką Sobotę przed południem. Gdy kapłan po poświęceniu wody i ognia, odśpiewa, leżąc krzyżem, litanję do Wszystkich Świętych, gdy zdejmie szaty żałobne, a przywdzieje białe godowe, zaintonuje „Chwała Panu na wysokościach", uderzają w radosne dźwięki dzwony wszystkich kościołów prastarej Sewilli.

Dzwony grają przez całą godzinę. W tym czasie miasto przywdziewa jasne, barwne szaty odświętne. Na „Wieży Złotej" u brzegu Gwadalkwiwiru zatykają białą chorągiew z żółtym krzyżem. Z katedry wyrusza pochód z pieśnią triumfu i zmartwychwstania na ustach. A o mury starych pałaców i domów, o nurty Gwadalkwiwiru odbijają się radosne brzmienia pieśni nadziei i chwały: Alleluja! Alleluja!

Tak odbywały się sławne procesje wielkopostne w Sewilli aż do przeszłego roku. — Jak będzie obecnie, nie wiadomo. Rząd hiszpański, zwalczający, jak wiadomo, pod wpływem komunistów religję, zamykający klasztory, wypędzający zakonników, nie skasował czcigodnego starego obyczaju uroczystych obchodów sewilskich. Zrobił to po części dlatego, by nie prowokować do ostateczności Hiszpanów, przywiązanych do katolicyzmu, jego obrzędów i tradycyj, z drugiej zaś strony zdawał sobie sprawę z tego, że zakazując procesji pozbawi Sewillę znacznego źródła dochodu; uroczystości te bowiem ściągały do miasta tłumy turystów z całego świata. Wolno więc będzie i tego roku mieszkańcom Sewilli uszanować stary zwyczaj, ale właśnie wśród nich powstała tendencja, by jako protest przeciwko prześladowaniu religijnemu i dopuszczaniu procesji tylko wtedy, gdy są one źródłem dochodów, wstrzymać się od nich tego roku i przeczekać... aż do lepszych czasów. *Ks. Dz—ski.*



Wolni chwilowo członkowie Bractw religijnych, w kapturach i tradycyjnych strojach przyjmują ofiarowane im do palenia papierosy. C. Delius — Nice.

Z CAŁEJ POLSKI.



WYSŁANNIK CESARZA ETJOPJI W WARSZAWIE. W tych dniach bawił w charakterze specjanego wysłannika cesarza Etjopji poseł nadzwyczajny Bedirondo Zelleke Aguedeou, aby podziękować P. Prezydentowi Rzpltej za delegowanie na uroczystości koronacyjne Ras Tarari'ego w Addis Abeby posła Dzieduszyckiego. Zdjęcie przedstawia posła Bedirondo w oknie wagonu przed odjazdem z Warszawy.



STRZELCY PODHALAŃSCY W HOŁDZIE TETMAJEROWI. W tych dniach znakomitemu piewcy Podhala, sędziwemu poecie Kazimierzowi Przerwa-Tetmajerowi wręczono w Nowym Sączu odznakę honorową 1-go pułku strzelców podhalańskich. Dekoracji tej dokonał płk. Krudowski. Moment ten przedstawia fotografja.



DWUDZIESTOLECIE TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA. W sali ratuszowej we Lwowie obchodzono uroczyście 25-lecie Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa, oraz 40-lecie pracy naukowej dra Aleksandra Czołowskiego, prezesa tegoż Towarzystwa i dyrektora archiwum Na zdjęciu moment przemówienia wiceprezydenta miasta inż. Kubali.



Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO W WILNIE. W pierwszych dniach marca otwarto w Domu Akademickim w Wilnie wystawę, obrazującą życie młodzieży uniwersyteckiej. Zdjęcie przedstawia moment poświęcenia tej wystawy.

Poniżej:

ZA NAJLEPSZY WYCZYN SPORTOWY. W dniu 15 bm. w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie wielkiej nagrody sportowej za rok 1931, znakomitemu biegaczowi i rekordziście Januszowi Kusocińskiemu z „Warszawianki". Na zdjęciu Kusociński (trzeci od lewej). Pierwszym od lewej jest płk. Kiliński, dyrektor P. U. W. F.





Z TEATRÓW WILEŃSKICH. Teatr na Pohulance wystawił ostatnio „Dwunastą noc", albo „Co chcecie" Szekspira. Sztuka ta doskonale reżyserowana i wystawiona bardzo efektownie, odniosła wielki sukces. Zdjęcie przedstawia T. Marecką w roli Oliwji i J. Wasileskiego w roli Sebastjana.

Poniżej: **SPORT WŚRÓD PRACOWNIKÓW PAŃSTW. BANKU ROLNEGO W ŁUCKU.** Pracownicy Banku Rolnego w Łucku z zapałem uprawiają sport narciarski na terenach podmiejskich. Zdjęcie przedstawia uczestników kursu narciarskiego na ćwiczeniach pod wsią Omelanik.





Z OPERETKI KATOWICKIEJ. Na czoło zespołu teatru katowickiego wybiła się p. Marja Nochowicz (na zdjęciu), utalentowana artystka, której występy w operetce zyskały sobie wielką popularność na Śląsku i są zawsze atrakcją dla najszerszych mas.

JAN PROCNER.

UCIECZKA ZE ZŁEGO MIASTA DO SKALISTEGO OGRODU.

Nieprzyzwoicie jest liczyć lata zacnej, a więc obfitej w wiosny i jesienie niewieście, a grubszem nietaktem wytykać komuś siwiznę, osładzając ten gorzki fakt ckliwym komunałem „o dostojeństwie starości". Wybacz, panie Zygmuncie Bartkiewiczu, że pisząc o nigdy nie zapomnianej wizycie w twoim jasnym dworku w Brwinowie, zacznę właśnie od twojej siwizny. Wichrowata ona i zawadjacka. Nie obnosisz jej „dostojeństwa", nie „celebrujesz" swych lat. Zadzierżysta krzepa łuną od Ciebie wali. Czy to, gdy spojrzysz zpodełba swemi skośnemi oczyma, czy też błyśniesz w nagłym uśmiechu bielą wilczych zębów, w których trzymasz nieodłączną fajkę.

Kto wie, możeś przyszedł na świat już z fajeczką w zębach, bo u pupilka Muz nietrudno, by z zębami się rodził odrazu i kieliszkiem godziwego trunku w garści.

A pupilem Muz był Bartkiewicz od zarania swojej cygańskiej młodości i jest nim po dziś, mimo ,że kołyską mu była nie żadna słoneczna kraina, lecz brudna, ponura i zadymiona Łódź.

Rodzinnej Łodzi poświęcił Bartkiewicz kapitalną opowieść. Pisał ją w 1907 r. A więc w dwa lata po krwawej burzy w 1905 r. I wówczas nazwał on Łódź „złem miastem". I taki dał tytuł temu rapsodowi przemysłu łódzkiego. Nie lubiał tego miasta, nienawidził jego obłudy; miasta w którem ultimo i medio, bawełna i pieniądz, haussa i baissa, a przedewszystkiem pieniądz i jeszcze raz pieniądz górował ponad wszystkiem.

Zygm. Bartkiewicz, znany literat

— — — — — — —

Niewielu naszych czołowych pisarzy potrafi jednem, lapidarnem zdaniem obnażyć duszę ludzi codziennych i rozbić powłokę serca, by zajrzeć w jądro ich uczuć.

Bartkiewicz to czyni w przedziwnie łatwy sposób. Ale tylko na pozór łatwy — bo dla tego jednego z najlepszych stylistów polskich nie istnieje robota bylejaka, szablonowa, idąca po linji najmniejszego oporu.

— Nieraz, kiedy było brak mi odpowiedniego, słowa przerywałem zdanie i potrafiłem jechać po nie do Warszawy...— mówi ze szczerym uśmiechem.

„Jechać po słowo". Czyż tu właśnie nie tkwi tajemnica znakomitości, pióra tego pisarza? O ile mniejszą byłaby powódź miernej i tandetnej, pseudoliteratury, zalewającej nas dzisiaj, gdyby autorzy zwolnili nieco „tempo twórcze" i chociaż raz na dzień przeszli się na spacer, by zastanowić się nad tem, co piszą. Wyszłoby to im bez wątpienia i literaturze na zdrowie.



Dworek Bartkiewicza w Brwinowie pod Warszawą.

Tęskni Bartkiewicz za pięknem. Szuka go z pasją. Zajrzyjmy do zbioru nowel „Wyzwolenie". Oczaruje nas tam panorama obrazów, po mistrzowsku skreślonych śmiałemi rzutami. A tymczasem smutnym rytmem brzmią zdania („Historja jednego podwórza"), gdy autor patrzy z bólem na schyłek dawnych dni. Książki Bartkiewicza to twarde życie, to znojny trud.

Bartkiewicz dziś nie pisze. Spytałem go, dlaczego?

Gdy rzuciłem to pytanie stał pod piecem, pykając fajeczkę. Chwilę milczał, uśmiechając się szelmowsko. Wreszcie wodząc wzrokiem po niskich ściankach dworku, zawieszonych staremi płótnami, szkicami Kostrzewskiego, obrazami swego pędzla, (bo mistrz pióra i z paletą żyje w zażyłej przyjaźni) oraz pejzażami swej żony (z cenioną malarką ożenił się przed laty) — odparł skromnie.



Szarotki z ogródka Bartkiewicza.

— Wziąłem z piórem rozbrat, bo nie chcę być nudny. Teraz ludzie nie lubią tego rodzaju literatury. Poco pisać? Dla kogo? Chyba tylko dla siebie. Pisanie rzuciłem. Hołduję innej namiętności, powiedziałbym, że ostatniej już w życiu. Wokół swego domu urządziłem skalny ogród i hoduję w nim rośliny i kwiaty górskie, szlachetne to kwiaty; nie znoszą one nawozu i zwykłej ziemi. Mam w ogrodzie roślinność tatrzańską, alpejską i z gór Krasu, a nawet i okazy flory Himalaji.

Długo wtajemniczał mnie Bartkiewicz w cuda swego niezwykłego ogrodu. Pouczał, jakiemi solami żywi się jego „skalista dziatwa". Jak musi preparować dla niej odpowiednią glebę, a przy tym wykładzie kilkakroć podkreślał, jakby mimochodem, lecz nie bez dumy, że wybredne są one w pożywieniu, że nim wykiełkują i przedrą się przez skaliste przeszkody, by cieszyć się potem słońcem, muszą wiele szlachetnego ponieść wysiłku.

Taką jest ostatnia namiętność autora „Złego miasta", miasta zatrutej gleby. „Bawełniany kwiat łódzki" więdnie... Cichnie warkot tysięcy wrzecion, nieruchomieją transmisje, stygną paleniska jedno po drugiem. Dawny możnowładca łódzki, pan na Widzewie Oskar Kohn mówi w wywiadzie dziennikarskim: „Łódź umarła". Bujne kwiaty, wyrosłe z zagonów gorączki złota usychają. „Złe miasto" ginie. Namiętność ludzka je niszczy.

Skalisty ogród Bartkiewicza, gdzie kwiaty rosną nie w pulchnej, uprawionej ziemi, przepojonej sokami nawozu, „lekko", bez wysiłku, lecz przebijają się ku światłu w znoju — urasta do rozmiarów symbolu na pograniczu dwóch światów. Jeden, — to ten najmniejszego oporu, świat łatwizny i tandety intelektualnej, na drugim brzegu — świat rzetelnego wysiłku. Kto na drugim brzegu — ten zwycięży. Czekamy na nową książkę Bartkiewicza, ogrodnika „skalnego ogrodu".





B. KRÓL HISZPAŃSKI POD PIRAMIDAMI. Alfons XIII, który pod nazwiskiem księcia Toledo podróżuje po całym świecie, a ostatnio bawił w Grecji i Egipcie, wylądował onegdaj w Marsylji. — Zdjęcie przedstawia ks. Toledo w otoczeniu towarzyszy podróży na tle piramid.

Wide-World Photos — Paris.

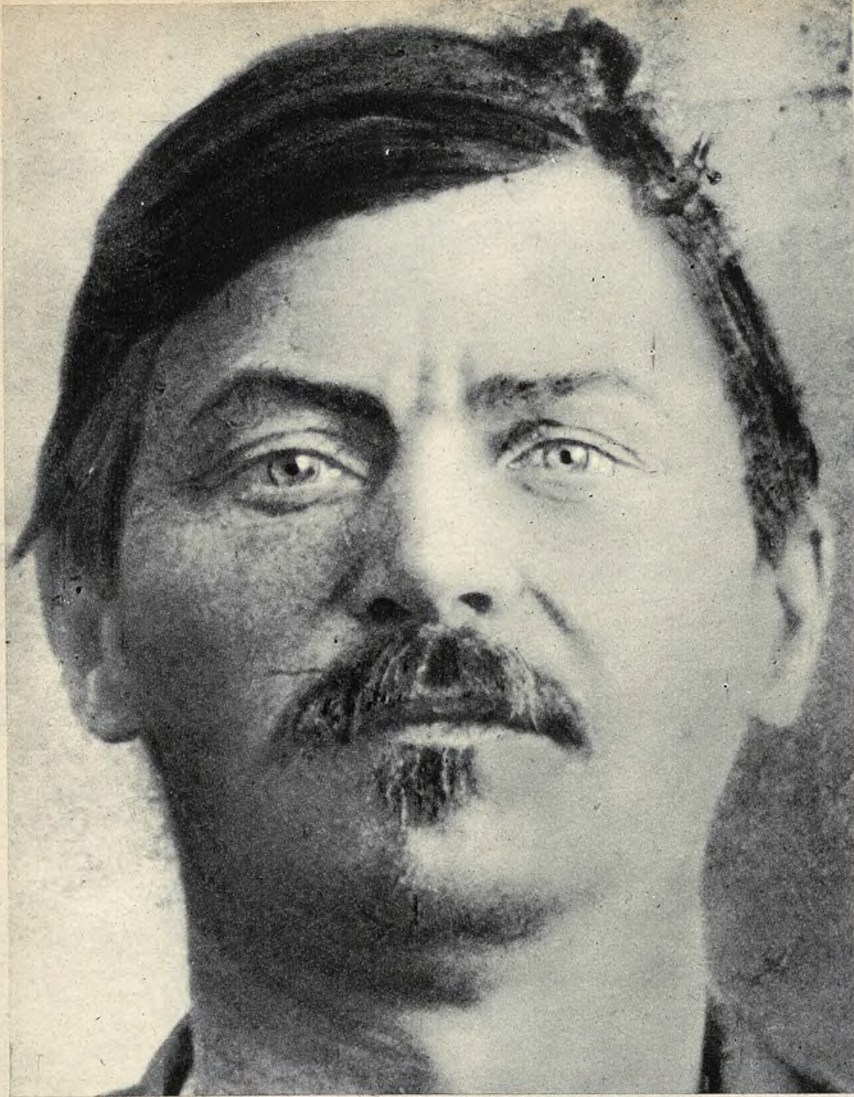
Z PAŃSTWA WATYKAŃSKIEGO. Państwo kościelne posiada własną linję kolejową, łączącą dwie stacje. Linja ta jest obecnie już na ukończeniu. Zdjęcie przedstawia ostatnie roboty, prowadzone na krzywiźnie przy wjeździe z Rzymu do państwa kościelnego.

The New York Times.

Na prawo:

NOWY KUERTEN. W tych dniach aresztowano w Lincu niejakiego Franciszka Leithgoeba (na zdjęciu) za zamordowanie Luizy Jank. Leithgoeb zeznał w śledztwie, że ma on na sumieniu już 11-cie morderstw, z których pierwsze popełnił w 1910 r. Ponieważ w Austrji zniesiono karę śmierci, przeto mordercy temu grozi conajwyżej dożywotne więzienie.

R. Sennecke.



REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



KRADZIEŻ PŁASZCZA KRÓLA HAWAJSKIEGO. W etnograficznem muzeum w Göttingen dokonano kradzieży płaszcza króla hawajskiego, sporządzonego z piór egzotycznych ptaków (na zdjęciu). Bezcenny ten zabytek, pochodzący z XVIII wieku, był oszacowany na pięć miljonów marek. — Podobne płaszcze posiada tylko muzeum ludoznawcze w Berlinie i w Londynie.

Atlatio-Photo.



ECHA WYBORÓW PREZYDENCKICH W NIEMCZECH. Przebieg wyborów prezydenckich w Niemczech śledził ze specjalną uwagą b. kronprinz, który od dłuższego czasu mieszka stale na Śląsku, jest jednak częstym gościem i w Berlinie. Zdjęcie nasze przedstawia b. kronprinza Wilhelma, udającego się do lokalu wyborczego. Komu kronprinz oddał głos, o tem kroniki milczą.

Scherl — Berlin.





POWÓDŹ W RUMUNJI. Południową Rumunję nawiedziła klęska powodzi, która zagroziła nawet Bukaresztowi. Zdjęcie nasze przedstawia przedmieście Bukaresztu, zalane wodą.

Associated Press.



Na lewo:

MAC DONALD NA RIWIERZE ANGIELSKLEJ. Premjer angielski Mac Donald, który niedawno przeszedł operację lewego oka, bawił czas jakiś na Riwierze angielskiej na wypoczynku. Zdjęcie nasze przedstawia go w towarzystwie córki, Izabeli, na spacerze. Obecnie Mac Donald powrócił już do Londynu.

Keystone — London.



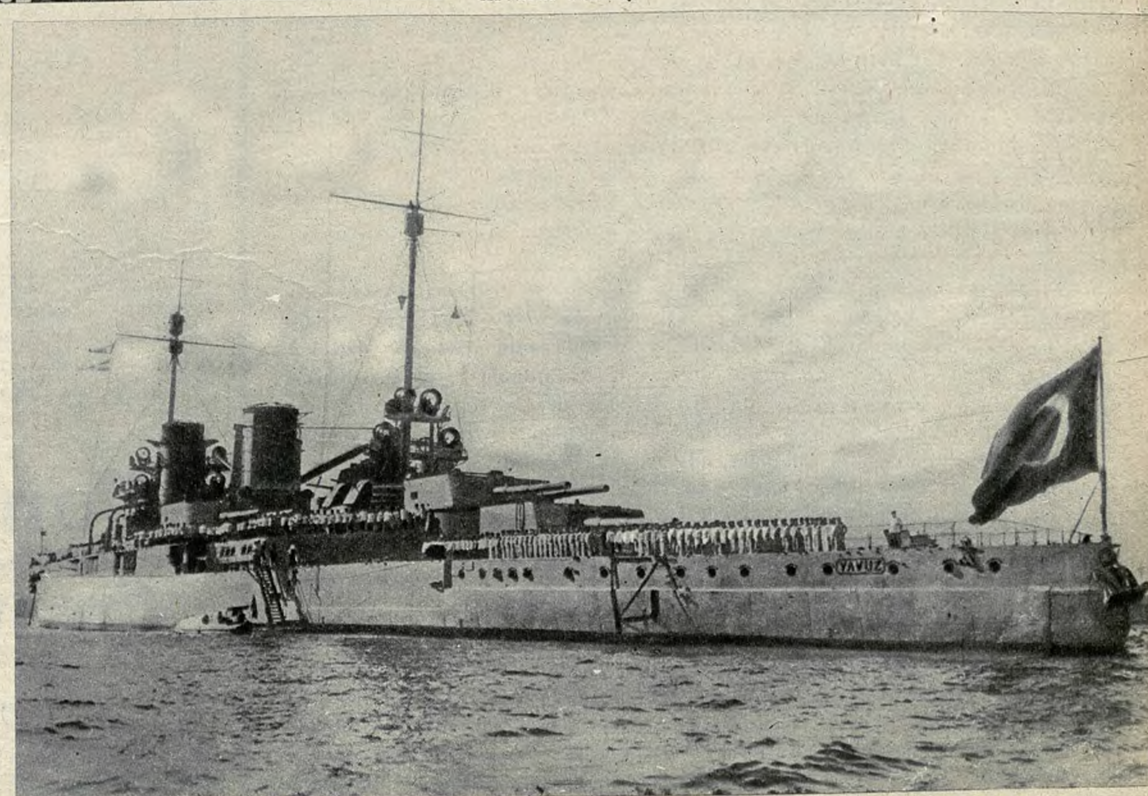
W IRLANDJI RADOŚĆ. Irlandczycy oczekują zawsze z wielką niecierpliwością ciągnienia loterji klasowej, na której grają jaknajszesze warstwy ludności, podobnie jak w Hiszpanji. Tego roku wyciągały losy z urn dziewczęta, ubrane w specjalne uniformy, jak to widzimy na zdjęciu.

Associated Press.

Na prawo:

POSTRACH MÓRZ PÓJDZIE NA STARE ŻELAZO. Turecka komisja, złożona z fachowców, orzekła, że pancernik „Goeben“, stanowiący najsilniejszą jednostkę wojennej floty tureckiej, nie nadaje się już do służby. W ten sposób kończy swój żywot jeden z najgroźniejszych pancerników, którego historja obfituje w ciekawe i dramatyczne momenty. Zbudowali go Niemcy. W 1914 roku pełnił on służbę na morzu Śródziemnem. Z wybuchem wojny ścigany przez flotę francuską i potężne dreagnauthy angielskie z klasy „Inflexible“, zdołał zbombardować wybrzeże francuskie, a następnie umknąć przez Dardanele do Konstantynopola, gdzie został przez Turków internowany. Kiedy Turcy przystąpili do wojny u bloku państw centralnych, Niemcy sprzedali im „Goeben“ i odtąd pełnił on służbę pod znakiem półksiężyca. Teraz dopiero pójdzie na rozbiórkę, gdyż postęp techniki pokonał i tego olbrzyma, przed którym jeszcze przed 18 laty drżała flota angielska. Zdjęcie przedstawia „Goeben“ pod flagą turecką.

Atlancie Photo.



ROZMOWA Z KRZYSIĄ



Rzeźba Krzysi, „Dziecko z psem".



Krzysia Lewandowska, 10-letnia utalentowana tancerka i rzeźbiarka.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".

Krzysia przy pracy rzeźbiarskiej.

Krzysia Lewandowska, dziesięcioletnia tancerka. Małe, szczupłe dziewczątko, z warkoczykami spadającemi na biel kusej sukienki. Pociągła, ładna twarzyczka i niebieskie oczka. Ale barwę tych oczek ujrzałem dopiero po długich naleganiach. — Buzia małej Krzysi miała bowiem przez cały czas naszego „wywiadu" tendencję bliskiego kontaktu z białym puszystym łebkiem Nika.

Wiedząc, kim jest Krzysia, której taneczne występy, pełne niezwykłej inwencji i subtelnego wdzięku, kilkakrotnie czarowały widzów krakowskich, warszawskich, lwowskich i trzy lata temu paryskich, nie mogących wyjść z podziwu nad uroczą „petite Polonaise", można jednak nie wiedzieć, kim jest Niko. Jest to jej najbliższy przyjaciel i w salonie, gdzie siedzę, daleko ważniejsza osoba, niż jakiś obcy jegomość, który przyszedł zobaczyć „Krzysię w życiu prywatnem" i napisać o niej; wyższość Nika nadenną uwidacznia się najlepiej w momencie częstowania czekoladkami: naprzód otrzymuje je Niko, potem dopiero ja. Krótko mówiąc: Niko jest bardzo miłym pudelkiem.

Uczenica Walden-Hankusa w Krakowie i szkoły Duncan'ów i słynnej Preobrażeńskiej w Paryżu, Krzysia Lewandowska ma już swe nazwisko i należny podziw w sztuce tanecznej; mało jednak jest wiadome, że to naprawdę „cudowne dziecko" ma jeszcze drugi talent: rzeźbi. I to rzeźbi doskonale, z fantazją i jakże dziwnym w jej wieku rozwojem świadomego talentu. Rzeźbić nie uczyła się nigdy; naprzód w plastelinie, obecnie w glinie tworzy Krzysia piękne i pełne wyrazu kompozycje. Uczyć się rzeźby będzie dopiero za kilka lat, gdy troszkę dorośnie.

— Powiedz mi coś, Krzysiu.. Niech Niko przejdzie do drugiego pokoju...

Krzysia nie wie, co powiedzieć i nie puszcza Nika od siebie. W dniu, poprzedzającym moją wizytę, Krzysia miała występ — salon pełny kwiatów... — Jakieś wrażenia, wspomnienie wczorajszego triumfu... Nie, Krzysia mówi wreszcie, ale o czemś zupełnie innem:

— Właśnie zdałam egzamin z półrocza w szkole... Zdałam całkiem dobrze!

Krzysia zdała egzamin i wkrótce wyjeżdża z matką do Paryża uczyć się dalej. — „La petite Polonaise" znów skieruje ku sobie sympatję i uznanie tak czułego na sztukę i wdzięk środowiska. Niechże ci się, Krzysiu, jaknajlepiej powiedzie — małemi swemi nóżkami zatańcz w upajającej atmosferze Paryża dla siebie i dla nas wszystkich i dla mnie, który nie ujrzę cię w tym roku w czarze stolicy świata i dla Nika, któremu znów dajesz czekoladkę, zapominając o mnie...

W. Zech.

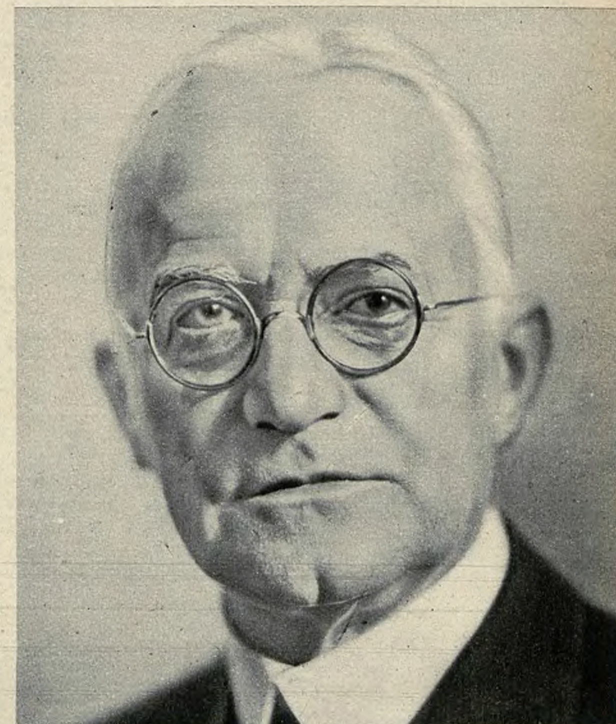
Ci – o których się mówi.



W kole:
ODCZYTY P. WARDASÓWNEJ. W ostatnich czasach żywą działalność propagandową na rzecz lotnictwa rozwinęła znana uczestniczka lotniczego rajdu kobiecego p. Marja Wardasówna z Katowic (na zdjęciu), wygłaszając szereg odczytów na Śląsku i w Krakowie, w których w malowniczy sposób opowiedziała swoje przygody rajdowe.



KŁOPOTY KRÓLA. Król szwedzki, który bawił od kilku tygodni na Riwierze, gdzie z zamiłowaniem grał w tennisa, na wiadomość o samobójstwie króla zapałczanego Kreugera, postanowił powrócić do Szwecji ze względu na ciężką sytuację gospodarczą i polityczną, w jakiej znalazł się kraj, wskutek bankructwa koncernu zapałczanego Zdjęcie przedstawia króla w loży na wyścigach w Nicei.



PO KREUGERZE — EASTMAN. Po samobójstwie „króla zapałczanego" nowa sensacja wstrząsnęła światem przemysłowo-gospodarczym. George Eastman, 78-letni założyciel wielkiej światowej wytwórni aparatów fotograficznych „Kodak" popełnił samobójstwo. Eastman przyczynił się ogromnie do rozwoju fotografji wynalazkiem suchych płyt fotograficznych.



SENSACYJNY WYNALAZEK W DZIEDZINIE OŚWIETLENIA ELEKTRYCZNEGO. Amerykańskiemu elektrotechnikowi dr. Irwingowi Langmuirowi udało się skonstruować nowy typ żarówek elektrycznych, których główną zaletą jest niespotykana dotychczas przy żadnym innym typie oszczędność prądu. Obliczono, że po wprowadzeniu tego typu żarówek Stany Zjednoczone zaoszczędzą dziennie prądu elektrycznego wartości jednego miljona dolarów.

Przedwiośnie.

Codziennie poczta przynosi duże koperty, pełne fotografji z całego świata; wielkie wydarzenia — katastrofy i rekordy, sławne oblicza, tereny wybitnych zdarzeń... W ostatnich dniach do tych wybitnych zdarzeń przybyło jeszcze jedno: wiosna.

W każdej przesyłce z fotografjami wielkich agencyj światowych z Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i z innych kontynentów świata, poza naszą starą Europą, znajdujemy słońcem tchnące serje fotografij: wiosna idzie!

I wtedy od tych pogodnych przesyłek wzrok coprędzej kieruje się w stronę okien: a u nas?

Jeszcze nie wiosna — ale już przedwiośnie. Jeszcze leżą śniegi i pola spoczywają, okryte białemi płachtami zimy, ale już unosi się przeczucie idącej, już w pogodne południa powietrze pełne jest zbliżającej się woni...

Kwiaty wytrysną z pod śniegu, z pod błotnego nawisu zimy, która oddala się z dniem każdym. Zmartwychwstanie ziemia pachnąca i rodna, wyniesie się znów ku słońcu rytm jej życia.

Przedwiośnie, dumny okres zmagania się zimy z wiosną, walki żywiołu zimna z ciepłem słońca, roztapiającego wszystkie lody, nawet te, które zakuły w pęta serca smutne i samotne; przedwiośnie, które na najbardziej zaciśniętych goryczą wargach wywołuje uśmiech znów wstającej nadziei w jutro...

Dziś święcimy święto zmartwychwstania. Od wieków ludzkość święto to uroczyście i radośnie obchodziła, śpiewając hymny na cześć bogów, których kolejno wiodła na ołtarze. Wznosiły się ku niebu, pachnącemu pogodą błękitną, dymy z ognisk — jak dziś dźwięczne głosy dzwonów — z ognisk, w których spalano wyobrażenia zimy, oddając hołd wiośnie idącej, zbliżającej się po dywanie z pierwszych kwiatów władczyni radości, miłości, nadziei. W szumiące spływającemi lodami rzeki, których ciemń chciwie odbijała ujrzany znów błękit nieba przedwiosennego, wrzucano nienawistne kukły zimy, topiąc je przy dźwiękach pieśni, witającej nowe życie.

Wielkie wydarzenie świata: wiosna!...

Idą w szumie rozpalającego krew w żyłach przedwiośnia pierwsi witać ją reporterzy agencyj z aparatami fotograficznemi; idą zdala od miasta, które najpóźniej wyzwala się z oków zimy, w pola już zieleniejące pierwszemi trawami, już rozpękające się na wydanie pierwszych kwiatów, zasłuchane w skurczu rodzenia w pieśń pierwszych ptaków, które widzą idącą wiosnę na linji błękitnego nieboskłonu. W kamerę wsącza się słodycz kwiatów, barwna fala powietrza przesianego przez pierwsze promienie słoneczne oplata aparat, przyzwyczajony może do zdejmowania straszych grzechów wiecznie błądzącej ludzkości i krwawych przypadków życia...

Przedwiośnie...

Słuchając naszych dzwonów zmartwychwstania, zmartwychwstajemy znów w wierze w przyszłość; niema słodszej nadziei ponad nadzieję wiosny, która potrafi wszystko... Na oczy spłynie słońce wszyte w niebieską pogodę nieba. Serca nabrzmieją krwią szumiącą szybciej i cieplej. Wyrosną kwiaty słów: wiersze, notowane drżącemi palcami na szarych kartkach zeszytów szkolnych, na urzędowych aktach w zatęchłych izbach biur, na długich pasmach papieru redakcyjnego... Zmartwychwstanie po raz miljonowy ten rym „wiosna“ do „radosna“, który jeden jedyny usprawiedliwiony jest w długiej kolejce przeżytych już wzruszeń poetyckich. Bo jakież słowo może lepiej i trafniej rymować się do wiosny? Do wiosny, która jest tylko radością, radością ziemi i ludzi?

W wiośnie zmartwychwstawały wszystkie te bogi świata, wszystkie te siły tajemnicze, które rządziły dobrem i dobro celebrowały na zbudowanych im przez ludzkość ołtarzach; w wiośnie zmartwychwstał Chrystus, by przez rzesze skowronków wstąpić w niebo pogodne, błękitne, w niebo wiosny.

Zrzucamy z siebie szary osad zimy, skupienie samotnych wieczorów, gęstych od lodowego wiatru, chłodu, śniegowych płatków; zrzucamy z siebie ciemną siłę tęsknoty; na progu pachnącego nadzieją przedwiośnia kładziemy serca, by przyszedłszy, dotknęła je swym wzrokiem słońca wiosna, nowa wiosna, którą widzą już ptaki i kwiaty.

W. Zechenter (Kraków).

Młode koźle rozkoszuje się zapachem świeżej trawy. Zdjęcie z okolic Meranu (Tyrol włoski). W. v. Szigethy.

Obok:
Przedwiośnie w Alpach szwajcarskich w okolicy Davos. Z. Kluger & Co.

Kwitnące magnolje nad jeziorem Lugano w Szwajcarji, w kantonie Tessino. Z. Eluger & Co.

Obok:
Pole kwitnących krokusów w Alpach. Kwiaty te rozkwitają w marcu jeszcze przed stajaniem śniegów. Z. Kluger & Co.

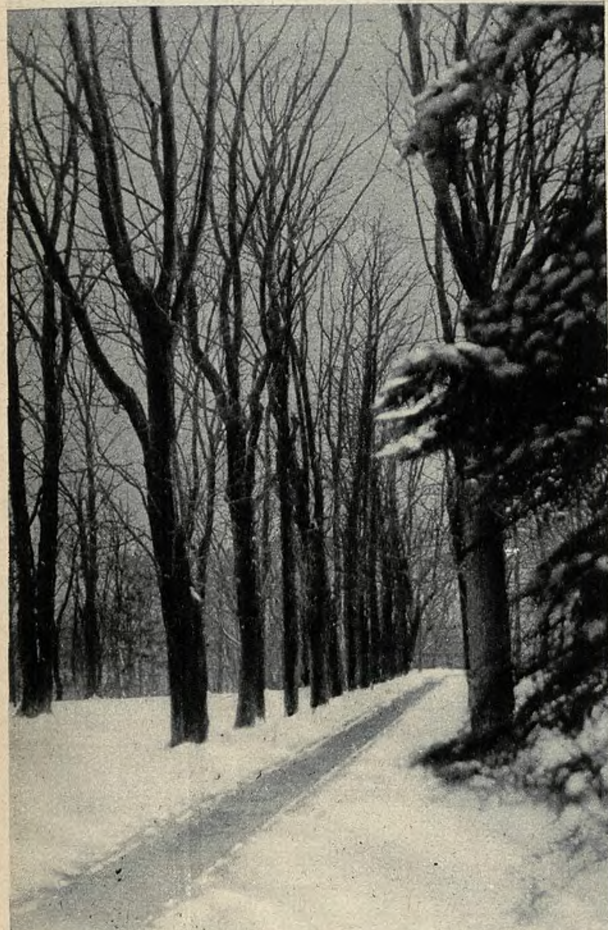
ROZMAITOŚCI.



GRA W POLO NA ROWERACH. Piękne Amerykanki, przebywające na wywczasach na słonecznej Florydzie, wymyśliły sobie nową grę, a mianowicie polo na rowerach. Złośliwi twierdzą, że cała ta nowa gra jest pretekstem do zaprezentowania pięknych nóżek. Do gry tej bowiem nosi się krótkie kąpielowe spodenki. Zdjęcie nasze przedstawia cztery amatorki gry w polo na rowerach. Keystone — Paris.



KAWKA OSOBLIWOŚCIĄ KRYNICY. Kuracjusze, udający się do Krynicy znają dobrze oswojoną kawkę, która bez ceremonji siada bądź na głowie, bądź też na ramionach nawet najwyższych dygnitarzy państwowych, dopominając się natrętnie o przysmaki. Niewiele ona sobie robi nawet z ministrów i uważa się za perwszą „osobę“ w Krynicy. Jest charakterystycznem, że kawki, które z natury rzeczy należą do najpłochliwszych ptaków, chowane za młodu wśród ludzi oswajają się bardziej od ptaków domowych, towarzyszą swojemu panu nawet na wycieczki i pomimo, że są na wolności, nie uciekają do lasów. Te same zalety mają oswojone sroki i kruki. Zdjęcie nasze przedstawia „sławną“ kawkę z Krynicy, wypatrującą przed sklepem nowych gości .



MIEJSCE CODZIENNYCH PRZECHADZEK MARSZ. PIŁSUDSKIEGO. Pałac belwederski w Warszawie, miejsce zamieszkania Marsz. Piłsudskiego, przylega do olbrzymiego ogrodu, który łączy się bezpośrednio z Łazienkami. Park Łazienkowski został starannie uporządkowany za czasów króla Stanisława Augusta, który dla swojej rezydencji chciał stworzyć odpowiednie ramy. Dziś park ten jest najpiękniejszą ozdobą Warszawy i miejscem wypoczynku dla jej mieszkańców. Ogród belwederski jest oddzielony od Łazienek murem i balaskami Codziennie w godzinach południowych odbywa w nim przechadzkę Marsz. Piłsudski. Zdjęcie nasze przedstawia ulubioną aleję Marsz. Piłsudskiego, po której on często spaceruje. Ag. fot. „Światowida“.



ZMIERZCH PRAWOSŁAWIA W ROSJI SOWIECKIEJ. Skutkiem bezwzględnej akcji Sowietów liczba cerkwi i popów zmniejsza się w Rosji katastrofalnie z roku na rok. Szczególnie najmłodsze pokolenie jest już w przeważnej części religijnie obojętne, bądź też skłania się niedwuznacznie na stronę bezbożników. Coraz mniejszy jest także przypływ sił duchownych, gdyż mało kto chce poświęcać się zawodowi, który przynosi prześladowania i nędzę. Zdjęcie nasze przedstawia klasztor prawosławny w Kijowie, zamieniony na muzeum antyreligijne. Ogromny napis umieszczony na muzeum głosi: „Aby nie liczyć nigdy na Boga, ani na cara“. „Unionbild“ — Berlin.

Na prawo: CZTERNASTOLETNI SIŁACZ. Anglicy, mimo to iż uprawiają wszelakie sporty i należą do narodów zdrowych i fizycznie dobrze rozwiniętych, nie mogą pochwalić się wielu siłaczami. Stąd też Anglik jako ciężko atleta jest zjawiskiem bardzo rzakiem na ringach, które bezapelacyjnie należą do przedstawicieli środkowej Europy i Rosji a w pierwszym rzędzie Polski. Obecnie nadzieją Anglji jest czternastoletni chłopak Charles Highfield, odznaczający się wyjątkową siłą. Potrafi on na desce utrzymać trzech dorosłych ludzi, jak to widzimy na zdjęciu. Może co z niego wyrośnie?... The New York Times.



MIGAWKI KIELECKIE.



Prezydent miasta Kielc mecenas Roman Cichowski, zasłużony bardzo około rozwoju tego miasta.



Obok: Renesansowy gmach Urzędu wojewódzkiego w Kielcach, dawna letnia rezydencja biskupów krakowskich (XVI wiek).



Gen. brygady Juljusz Zulauf, dowódca 2-ej dywizji piechoty w Kielcach.

Kielce — stary, odwieczny gród, dawna letnia rezydencja biskupów krakowskich, a dziś spokojna stolica wielkiej, uprzemysłowionej prowincji, położona malowniczo na stokach gór Świętokrzyskich i otoczona gęstym pierścieniem lasów szpilkowych.

„Civitas Kielcensis"... Takiem mianem ochrzcił niegdyś miasto Fryderyk Jagiellończyk, nadając mu w godle królewską koronę wielkiej dynastji. O przeszłości miasta opowiada sąsiadujący z katedrą pałac biskupów krakowskich, wspaniały zabytek renesansowy, doskonale zachowany i służący dziś potrzebom urzędu wojewódzkiego. W okresie niewoli mieszkali w nim gubernatorowie rosyjscy, ustępując miejsca w sierpniu 1914 roku wodzowi polskich legjonów, Marszałkowi Piłsudskiemu, który z południowej baszty pałacu wydawał pierwsze swoje rozkazy na wydartej wrogowi ziemi.

Miasto dzisiejsze, po przyłączeniu gmin okolicznych, liczy 60.000 mieszkańców. Imponuje nawet swym wyglądem, ale tylko w nocy i z pewnej odległości... Patrząc na nie z podmiejskiego wzgórza Karczówka, kieleckich Bielan, ze starożytnym klasztorem, a zarazem miejsca niedzielnych spacerów i schadzek, widzi się tysiące świateł, idących hen aż do linji horyzontu. Duże miasto... Lecz w miarę zbliżania się do jego bram, znika fatamorgana elektryczności i wyłania się naga rzeczywistość „wielkiego miasteczka", wybrukowanego kociemi głowami i karkołomnemi chodnikami, jak każde miasto Królestwa.

Środkiem przecina miasto długa i szeroka ulica, główna arterja handlowa, coś w rodzaju „Newskiego Prospektu"... Po lewej ręce, patrząc na wschód, rozmieściło się wielkie ghetto z dziesiątkami nędznych i brudnych uliczek, zabudowanych na wschodnią modłę. Paradoksem jest tutaj wzniesiony niedawno przez ruchliwych księży Salezjanów piękny kościół gotycki, z dwiema strzelistemi wieżycami. Po prawej stronie geometrycznej ulicy (ul. Sienkiewicza) rozbudowały się Kielce, bardziej europejskie, z ładnemi ulicami i placami, z katedrą i pałacem biskupim, oraz z prześlicznym parkiem, założonym jeszcze przez Staszica.

Ton miastu nadają urzędy, no i, oczywiście, kawiarnie... Stary „Smoleński" i nowoczesna „Italja". Dwie konkurencje, dwa obozy, patrzące sobie twarzą w twarz, w centrum geometrycznej ulicy.

„Italja" ze swoim nowoczesnym charakterem, jazzbandem, żywym kolorytem ścian, jest czemś w rodzaju paryskiego „Lacoupolle". Smoleński, mimo wieloletniej tradycji, też się nowocześnie „odmalował", ale nastrój pozostał ten sam, trochę archaiczny i groteskowy... Cukiernia ta o trzech salach, z niezmieniającemi się w nich typami ludzi i „typkami", przypomina zabawne powiedzenie niemieckie: „Bienen, Drohnen und Baronen" (pszczoły, trutnie i barony). „Pszczoły" zajmują chyba trzecią, najniższą salę i są najczęściej zaaferowane jakąś bankową aferą, których tyle Kielce w ostatnich czasach miały.

Kielce mają swój własny humor, swoją piosenkę... Corocznie Towarzystwo przyjaciół sztuki urządza doskonałe „kukły kieleckie", które, jak szopka krakowska, są satyrą na stosunki miejscowe. Teatr, dawniej stały, dziś otwiera swoje podwoje tylko od czasu do czasu, na występy najczęściej artystów stołecznych, koncerty i t. p.

Żywo rozwijać się zaczyna sport, zwłaszcza sporty zimowe, na budującym się pod Kielcami wielkim stadjonie-parku sportowym.

Mimo dziesięciu szkół średnich, mimo wysokiej klasy Seminarjum duchownego, Kielce nie mają dotychczas odpowiedniego środowiska kulturalno-naukowego, a brak ten odbija się skądinąd ujemnie na cennych zbiorach miejscowego muzeum krajoznawczego, prowadzonego przez zasłużonego prof. Tadeusza Włoszka.

Przyszłość miasta nie leży w każdym razie w rękach obecnych mieszkańców, zgnuśniałych naogół i zwaśnionych ze sobą. Panuje tu ogólny nastrój śpiączki, jak gdyby pod wpływem ukąszenia jakiejś tubylczej muchy „Tse-tse"... A jednak miasto ma widoki pięknego rozwoju, pod wpływem atoli czynników zewnętrznych, a więc wchodzi tu w grę bliskość „trójkąta bezpieczeństwa" i związany z tem przemysł, oraz projektowane połączenia kolejowe (Kraków—Miechów i Radom—Warszawa), które skierują cały centralny ruch kolejowy na Kielce i stworzą z nich ważny węzeł kolejowy, a temsamem pchną miasto na tory pożądanego rozwoju i zbudzą chyba z apatji autochtonów marmurowego miasta...

Tymczasem Kielce, jakgdyby przygotowując się do przyszłej roli, rosną szybko w ludność i narazie, poza zbudowaniem wodociągów i kanalizacji, tem tylko wykazać się mogą...

(Morwin)

Miss Kielce: p. Wanda Rybińska.



Obok: Ogólny widok imponującego parku Stadjonu w Kielcach, którego budowę rozpoczęto w 1929 r.

Fot. „Modernus" — Kielce.

Ostatnie zdjęcie porwanego dziecka Karola Lindbergha. Zdjęcie to przesłane zostało drogą radjową. Associated Press.

W POSZUKIWANIU DZIECKA LINDBERGHA.

Porwanie dziecka Karola Lindbergha, słynnego lotnika amerykańskiego, urosło do rozmiarów sprawy narodowej. Cała Ameryka bierze udział w poszukiwaniu synka Lindbergha jakby to była najważniejsza sprawa na świecie. Pastorzy modlą się w kościołach i wzywają wiernych do modlitwy, przed zebraniami wołają o modły za odnalezienie synka Lindbergha, a nawet przed... meczami bokserskiemi modlą się o odszukanie cennego dziecka.

Policja straciła najzupełniej głowę i 1400 komend policyjnych wydało wezwanie do obywateli, ażeby dopomogli w szukaniu dziecka. Dwaj bandyci, t. zn. Spitale i Bitz, którzy zostali najęci przez Lindbergha do odnalezienia dziecka, popełniają jakieś dziwne szachrajstwa, podwyższając ciągle stawkę okupu. Z początku była mowa o 50.000 dolarów, później cena podskoczyła na 100.000, a teraz doszła podobno do miljona dolarów. Dziecko zyskuje w cenie w miarę upływu czasu.

Gazety amerykańskie przestały wydawać już nazwyczajne wydania, gdyż nie miały nic konkretnego do napisania. Ktoś tam otrzymał doniesienie, że dziecko jest zdrowe, ktoś inny przyłapał tajemniczych automobilistów koło miasta Tenesee, którzy uwozili w płaszczu jakieś maleństwo, kto inny twierdzi, że dziecko jest w Montrealu, inny znowu opowiada, że wywieziono je na okręcie, szmuglującym alkohol i że bobo jedzie sobie z paradą do Bergen...

W tej powodzi plotek niewiadomo, co jest prawdą, a co fałszem. Nawet Al Capone, weteran zbrodni chicagowskich, a pozatem ulubieniec publiczności, zgłosił się ze swojemi usługami w nadziei, że w ten sposób wymknie się z więzienia, jednakże sąd orzekł, że wypuści go dopiero wtedy, gdy zapłaci zaległe podatki. Prawdopodobnie Al Capone nie zapłaci i będzie siedział dalej.

W ostatniej chwili nadchodzą wiadomości, że dwaj zaufani bandyci wyjechali już do Detroit samolotem, wioząc w kieszeniach 50.000 dolarów, przekazanych przez firmę Morgan. Niewiadomo, czy rzeczywiście tak jest i czy bandyci nie umkną z gotówką, którą przepuszczą niekoniecznie na dzieci...

Dla Europejczyka dziwnem nieco wydaje się ta współpraca policji, oraz rodziców z bandytami. Tego rodzaju rzeczy byłyby nie do pomyślenia w starej Europie. Jednakże policja amerykańska jest zdania, że bandyci lepiej znają świat zbrodniczy i że potrafią nacisnąć odpowiednie sprężyny, aby wydostać dziecko. Dotychczas jednak to pośrednictwo bandyckie nie dało spodziewanego efektu. Dalej trwa „ciuciubabka", w której policja śledzi bandytów, bandyci bandytów, bandyci policję, a wszyscy wszystkich.

Co wyniknie z tej „ciuciubabki" — do tej chwili niewiadomo. W każdym razie jest pewnem, że Ameryka ma nareszcie sensację nad sensacjami.

r. g.

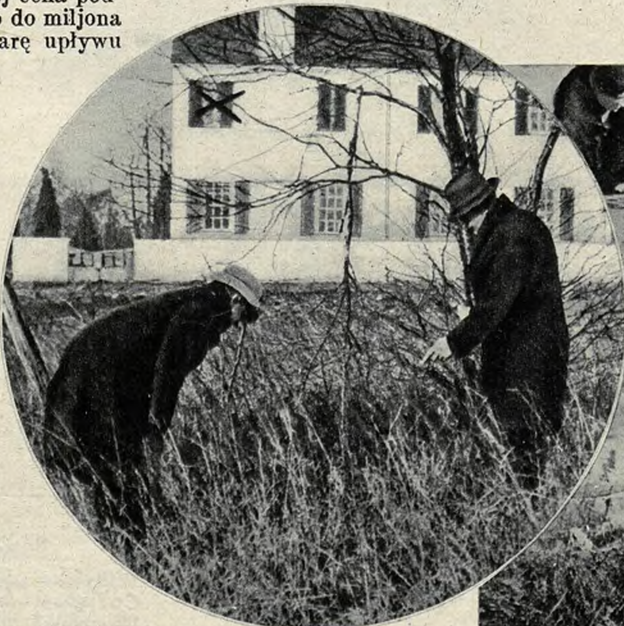


Obok: Policja amerykańska zatrzymuje na szosach automobilistów i rewiduje ich wozy. Oto scena na szosie w pobliżu miasteczka Hopewell, gdzie znajduje się rezydencja Lindberghów.

Keystone — London.

Poniżej: Policja Stanu New Jersey bada stawek w pobliżu rezydencji Karola Lindbergha.

Wide-World Photo — Paris.





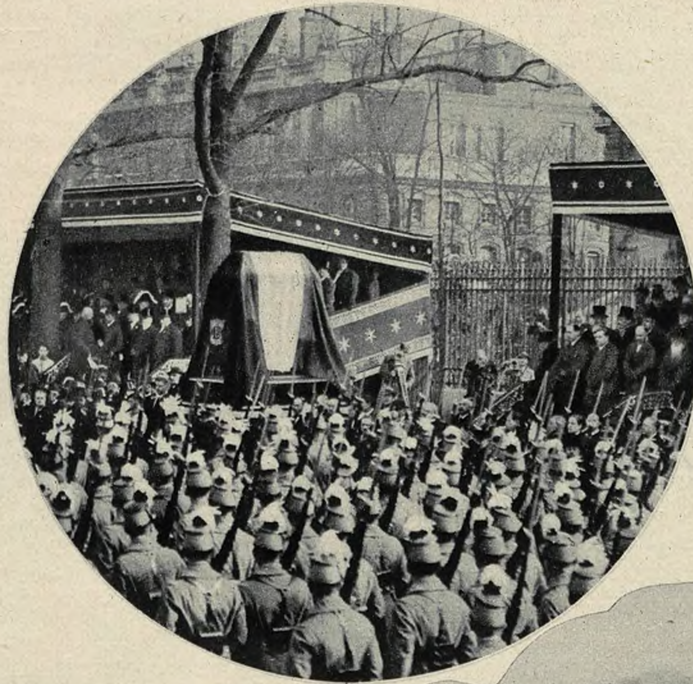
Detektywi przeszukują ogród przy pałacu Karola Lindbergha. Okno oznaczone krzyżykiem, jest oknem pokoju dziecinnego, z którego wykradziono małego Lindbergha.

The New York Times.

OSTATNIA DROGA BRIANDA.



Ambasador Rzeczypospolitej Chłapowski (x), kroczący za trumną Brianda w towarzystwie ambasadora niemieckiego von Hoescha.
Keystone — Paris.



Defilada wojska przed trumną Brianda.
Wide-World Photos — Paris.

Na krótko przed śmiercią Arystydes Briand wyraził życzenie, aby ciało jego złożono na małym wiejskim cmentarzu w Cocherel w środkowej Francji. Życzeniu temu ma się stać zadość.

Kiedyś, kiedy ludzkość zrozumie, że wojna jest złym interesem i że narody powinny skupić się w jednej wielkiej rodzinie, czyli w Stanach Zjedn. Europy, grób Brianda w Cocherel będzie promieniał, niby kamień graniczny nowej epoki i nowych czasów. Tylko bowiem te hasła, które głosił Briand, niezmordowany szermierz pokoju, są zdolne zapewnić światu lepsze jutro. Słusznie tedy uczynił parlament francuski, uchwalając, że Briand dobrze zasłużył się narodowi francuskiemu. Wyrazem tego hołdu był także pogrzeb, który całą Francję skupił przy trumnie wielkiego jej Syna.

W imieniu rządu pożegnał go premjer Tardieu, który mowę swoją zakończył temi słowami: „On był wyrazicielem jednego z najpiękniejszych prądów bolesnego czasu, dlatego naród opłakuje go, jak Apostoła".

Po pokropieniu zwłok przez kardynała Verdiera, trumnę wyniesiono przed bramę w ogrodzie Min. spraw. zagr. O godz. 2.30 przedefilował przed nią cały garnizon paryski pod wodzą gen. Bouranda. Następnie uformował się wielki pochód, który szedł głównemi arterjami Paryża przez Pola Elizejskie, koło Łuku Triumfalnego aż do cmentarza Passy, gdzie złożono prowizorystycznie zwłoki Brianda, aż do czasu przygotowania grobu w Cocherel.



Pochód żałobny pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu.
Wide-World Photos — Paris.

Trybuny w czasie przemówienia żałobnego premjera Tardieu, (w pierwszym rzędzie od prawej) von Hoesch, ambasador niemiecki w Paryżu, obok M. Gaiffier D'Hestroy, ambasador belgijski.
Wide-World Photos — Paris.

U JEGO EMINENCJI PRYMASA POLSKI.

Wywiad „Światowida" w sprawie duchownego Seminarjum zagranicznego.

Zdając sobie sprawę z doniosłości projektu założenia duchownego Seminarjum zagranicznego w stosunku do zagadnień narodowych i państwowych Polski, poleciliśmy naszemu Oddziałowi poznańskiemu wyświetlenie tej kwestji u Dostojnego jej Inicjatora. (Red.).

— Kiedy u W. Eminencji zrodziła się myśl założenia Seminarjum Zagranicznego?

— Z chwilą, kiedy wszedłszy na stolicę prymasowską objąłem równocześnie opiekuństwo duchowne nad polską rzeszą wychodźczą. To jest pięć lat przeszło temu.

— Czy ilość duszpasterzy, zagranicą zajętych duszpasterstwem polskiem nie wystarcza?

— Nie wystarcza. Proszę zważyć, że np. we Francji na 20 tys. naszych rodaków przypada zaledwie jeden ksiądz. Albo taka południowa Ameryka. W Urugwaju i Paragwaju niema dotychczas polskiego księdza, mimo, że tam mieszka kilka tysięcy Polaków. W Argentynie, w prowincjach Cordoba i Santa Fe 30 tysięcy Polaków żyje bez kapłana. — W Brazylji są polskie osady, które od czterdziestu lat nie widziały polskiego duszpasterza. W tej samej Brazylji 80% naszych rodaków z braku kapłana umiera bez świętych Sakramentów. Polacy odczuwają ten brak. Bezustannie otrzymuję listy z prośbą o polskich kapłanów. Są wprawdzie tam kapłani innych narodowości, którzy i wśród Polaków mogliby spełniać posługi duchowne, jednak Polacy niechętnie się do nich o tę posługę zwracają. Widzi Pan, pobożność i religijność polska są swoiste. Polak tylko wówczas naprawdę się modli, gdy słyszy polski śpiew, polskie kazanie. Do spowiedzi św. idzie zazwyczaj tylko do polskiego księdza. A jeśli tego księdza niema, to wogóle nie idzie, choćby nawet znał dostatecznie język obcy.

— A jak daleko postąpiła realizacja planu założenia Seminarjum Zagranicznego?

— Fundamenty pod nowy gmach Seminarjum są już położone. I to obok Archiwum przy ul. Lubrańskiego. Jest już nawet 39 kleryków, którzy się kształcą, narazie w mojem seminarjum djecezjalnem. Przygotowanie będzie pod każdym względem fachowe. Prócz nauk filozoficznych i teologicznych, wychowankowie Seminarjum Zagranicznego otrzymują ogólne przekształcenie dla zapoznania się z całokształtem zagadnień naszego wychodźtwa. Rzecz naturalna, że przyswoją sobie również język oraz wszystko to, co jest potrzebne, żeby nawskróś poznać kraj, w którym przyjdzie im pracować.

— A czy Wasza Eminencja nie lęka się, że wskutek kryzysu budowa dozna zwłoki?

— Mój Panie, Prymas Polski jest i będzie optymistą. Mimo wszystko, wierzę w ofiarność tak naszego wychodźtwa, jak również społeczeństwa polskiego. Zresztą czekać nie wolno. Zbyt wielka ciąży na mnie odpowiedzialność przed Bogiem i Narodem. Z dnia na dzień bowiem na wychodźtwie kurczy się stan posiadania polskich dusz.

— Czy księża, którzy wyjdą z Seminarjum Zagranicznego, pozostaną na zawsze w polskiem duszpasterstwie zagranicznem?

— Na zawsze. Boć muszę jeszcze dodać, że Seminarjum Zagraniczne będzie zorganizowane w ramach osobnego Zgromadzenia Zakonnego. Każdy kleryk będzie zarazem członkiem Zgromadzenia, a gmach Seminarjum Zagranicznego stanie się zarazem domem centralnym tegoż Zgromadzenia.

— A więc Eminencja zakłada nowe Zgromadzenie zakonne?

— Tak. Przytem nawiązuję w niektórych szczegółach do świetnych tradycyj polskich Bożogrobców. Widzi Pan, ksiądz zakonny zagranicą daleko lepiej sprosta swemu zadaniu, aniżeli ksiądz świecki. Poza tem znajdzie on w swem Zgromadzeniu mocne oparcie. A przyznać muszę, że i biskupi na wychodźtwie darzą zakonnika większem zaufaniem, jako, że on większą im daje gwarancję.

— Czy Zgromadzenie to już rozpoczęło swą działalność?

— Nastąpi to niezadługo. W jesieni rozpoczyna się już nowicjat dla kleryków i braci świeckich.

— A jak się odnosi Ojciec św. do poczynań Waszej Eminencji?

— Ojca św. informowałem kilkokrotnie o swych zamiarach. Pochwalił je, a nawet przynaglał. W maju ub. r., kiedy byłem w Watykanie, czule temu dziełu błogosławił. Przy innej sposobności nazwał Ojciec św. dzieło to dziełem opatrznościowem, pożytecznem — i dlatego Sercu Swemu tak bliskiem. A więc Bóg tak chce, mój Panie. A jeżeli to wola Boża, to rzecz się uda i udać się musi z pożytkiem wielkim dla ukochanej naszej rzeszy wychodźczej.

Fronton pałacu prymasowskiego w Poznaniu.

Na lewo: Fragment sali recepcyjnej w pałacu prymasowskim. Na lewo wisi nadnaturalnej wielkości portret króla Augusta II. U góry gobeliny, tkane przez pojmane do niewoli pod Wiedniem Turczynki.

Na prawo: Projekt duchownego Seminarjum zagranicznego w Poznanin, wykonany przez inżyniera Cybichowskiego z Poznania.

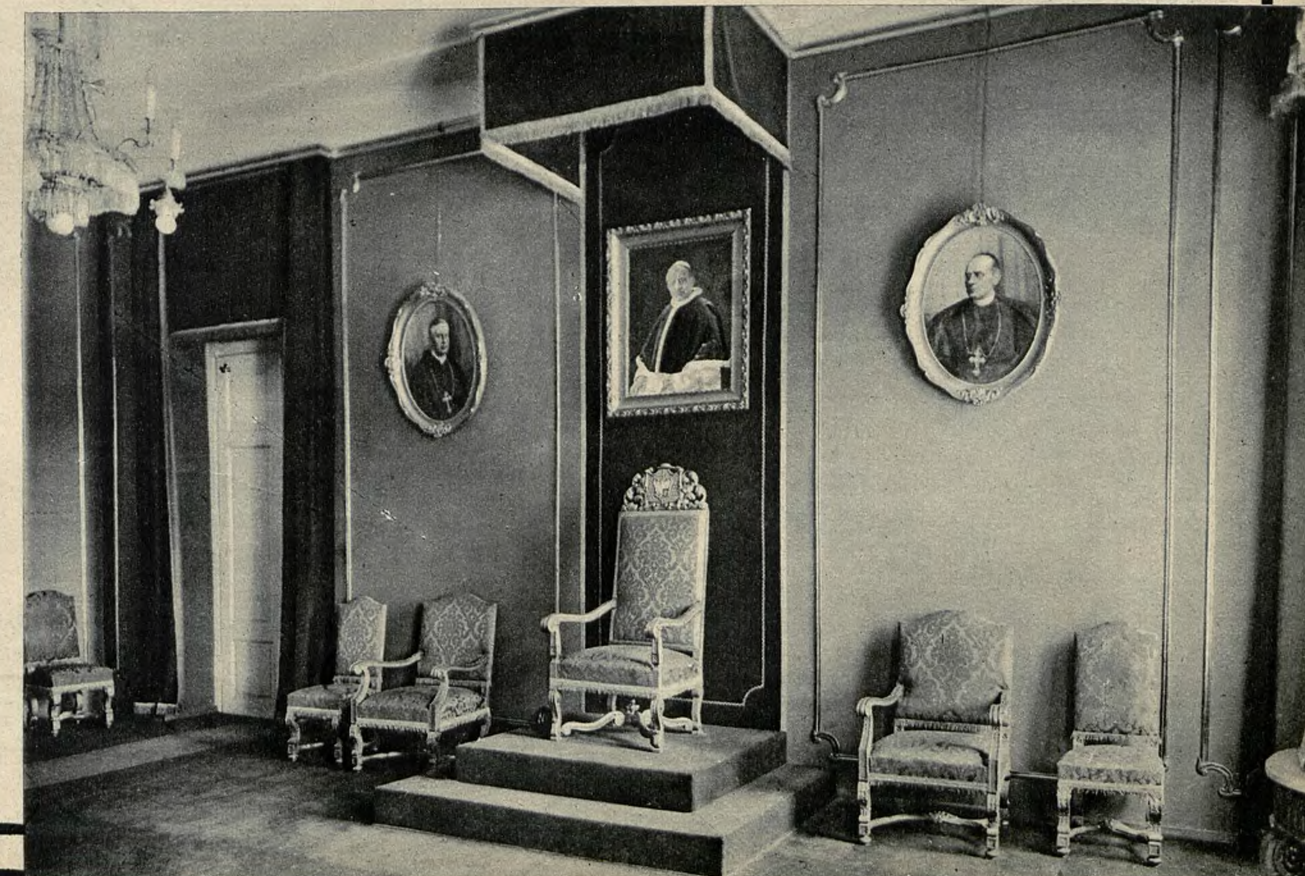
Poniżej: Fragment gabinetu pracy. Na ścianie wspaniały arras francuski.



J. Em. ks. kardynał prymas dr A. Hlond w swoim gabinecie pracy — według ostatniego zdjęcia, dokonanego specjalnie dla „Światowida".

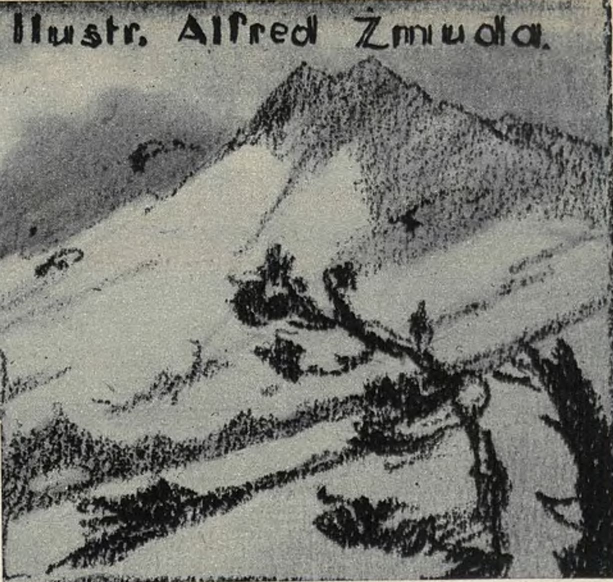
WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWIDA"

Poniżej: Fragment sali tronowej.



WŁADYSŁAW MIDOWICZ. Ilustr. Alfred Żmuda.

gdy budzi się gniew gór



— Tak moi panowie — góry lubią się mścić i radziłbym nie wracać jutro przez Krzyżne!

W kominku trzasła tląca głownia i strumień iskier posypał się na świetlicę, ukazując twarz przygodnego towarzysza wieczoru zimowego.

Dziwny to był człowiek. — Twarz pocięta bruzdami, osmalona wiatrem, oczy niebieskawe, wyblakłe zapatrzone w czas, który już przeszedł; miał chyba z pięćdziesiąt lat. Resztki dostatku narciarskiego trzymały się na jego smukłej, mimo wieku, postaci — świetny dress, mimo widocznych śladów długoletniej walki z aurą i trudami górskiemi, leżał jak ulany, buty także niezgorsze, opięte sprzączkami.

Czem się on żywił w terenie, to właściwie niewiadomo — worka turystycznego nie posiadał zupełnie, a raki nosił w małej torebce skórzanej, przewieszonej pod wiatrówką przez ramię; w kieszeniach posiadał tylko istny skład tytoniu i papierosów.

Poznaliśmy się również w niezwyczajny sposób. — W śliczne kwietniowe rano, podczas zjazdu z Krzyżnego, pod zjeżdżającym przodem, Jędrkiem, urwała się nagle wielka deska śnieżna. Nikt nie spodziewał się jej w tem miejscu, to też zdębieliśmy na chwilę, a Jędrek tymczasem, mimo rozpaczliwych wysiłków, staczał się szybko z rosnącą lawiną, wgłąb...

I nagle — z za załomu kończącej się grańki skalnej, wysunęła się ludzka ręka i błyskawicznym ruchem schwyciwszy za spód wiatrówki przelatującego właśnie tuż obok towarzysza, osadziła go w miejscu, wyrywając z śmiertelnych objęć lawiny, która z głuchym łoskotem pomknęła dalej przez kosówki, ku Roztoce.

To był właśnie „on". — W schronisku pięciostawiańskiem potoczyła się teraz dyskusja nad powodami niespodziewanej lawiny, a następstwem jej było postanowienie powrotu nazajutrz znowu przez Krzyżne, dla przekonania się na miejscu. I wówczas nasz dziwny towarzysz, milczący dotąd uparcie, przemówił:

— Proszę nie sądzić, iż słowa powyższe powiedziałem tak „na wiatr" — chodzę po górach nie od dziś i twierdzę, że nie jest to tylko zbiorowisko martwych głazów i ścian zamarłych, lecz szereg istot dumnych i mściwych, nie uznających w swem państwie intruza - człowieka. Prym wśród nich wiedzie właśnie Krzyżne, które dziś odezwało się znowu. Macie wyjątkowe szczęście — piekielny żleb!

I taką nienawiścią zabłysły mu oczy, że mimowoli wzdrygnął się poniektóry z nas. — Ten człowiek przeszedł chyba w swem życiu wiele.

— Pomnę — opowiadał — lat kilkanaście temu byłem członkiem Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego. Sezony zimowe były bardzo ożywione, wypadków więcej. Nie było miesiąca, byśmy nie szli z pomocą — najbardziej hulały lawiny. Widnieją mi do dziś odkopane z pod ich całunów postacie, które „biała śmierć" zabrała ze sobą bezpowrotnie. Twarze skrzywione w niesamowitym grymasie przerażenia czy nienawiści, ręce zaciśnięte kurczowo... Był to widok, przy którym nawet stary przewodnicy odwracali niekiedy głowy.

Był pamiętny rok 1924. Z wiosną rozpoczęła się istna wędrówka narodu narciarskiego przez Krzyżne, które dotąd omijano w zimie jako szlak silnie lawiniasty i prawdziwie niebezpieczny. Z początku wszystkie wyprawy udawały się normalnie, ale tylko do czasu. Góry przyczaiły się mściwie, czekając na sposobną chwilę.

Z początkiem kwietnia gruchnęła po Zakopanem wieść o pierwszym wypadku w żlebie Krzyżnego — wówczas jeszcze odratowaliśmy śmiałków. Potem wypadki i katastrofy w tej partji posypały się jak z dziurawego worka, a prawie wszystkie w dziwacznych okolicznościach. Raz mgła zawiodła samotnego narciarza aż na stok Wołoszyna — inny znowu, nie mogąc z niewiadomych powodów przyhamować w zjeździe, ani nawet przewrócić się, zjechał po śmierć, w oczach patrzących z góry towarzyszy — prosto w Roztokę.

My jednak nie dawaliśmy za wygraną — wzięliśmy się za bary z mściwością gór. Co kilka dni wzywano telefonicznie Pogotowie z mównicy w Roztoce — co kilka dni przywoziliśmy stamtąd odratowane ofiary katastrof, czasem pomasakrowane zwłoki. Wreszcie gdzieś z końcem kwietnia, Krzyżne ucichło — odetchnęliśmy nieco. Nie przeczuwał nikt, że mściwe góry zbierają się w sobie, by rzec ostatnie słowo.

Pamiętam jak dziś ów dzień szóstego maja — święciliśmy właśnie ćwierćwiecze Pogotowia. Na werandzie restauracyjnej w Dworcu Tatrzańskim czyniło się coraz weselej i różowiej toast szedł za toastem. — Podniósł się nagle sekretarz Pogotowia — kielich drgał mu lekutko w palcach.

Toast ten — rzekł — poświęcę najuroklwiszej naszej przełęczy, w lecie, a najsroższej w zimie — przełęczy, której otoczenie tyle pochłonęło ofiar, a nas tak wiele kosztowało trudu. — Piję na pohybel zimowemu Krzyżnemu!

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa, gdy gwałtownie zadźwięczał dzwonek telefonu. Podszedł kierownik Pogotowia — słychać było urywki rozmowy:

Hallo! — kto? — Roztoka? — owszem, przy aparacie. — Co? — znowu na Krzyżnem!? Owszem, natychmiast wyruszamy — a kto mówi?

Ale aparat już milczał — połączenie zostało przerwanem. Ponownie wezwana centrala, odpowiedziała po chwili, iż wywoływana mównica w Roztoce nie zgłasza się już...

Koło zasępionego kierownika skupili się prawie wszyscy — posypał się grad pytań.

Coś niesłychanego — rzekł tenże — znowu wypadek w żlebie Krzyżnego — i do tego niewiadomo nawet, w którem dokładnie miejscu... Zaczem proszę pięciu panów na ochotnika i ruszamy natychmiast — nie wątpię, iż powrócimy późnym wieczorem i honornie zakończymy dzisiejszy jubileusz. Tymczasem proszę sobie nie przerywać zabawy — miejcie się!!

Rozbiegliśmy się w mgnieniu oka — Ignac wytaczał już auto z garażu, do którego posypały się narty, raki, liny, lopaty i wreszcie najsmutniejszy przyrząd — toboggan.

Dzy — dzyy — dzyy — hrrrrr! — nasz Super-Fiat zadrgał mocarnie paru dziesiątkami swych koni mechanicznych i wysunął się z podjazdu, biorąc odrazu niezwykłe tempo. Tarcza z błękitnym krzyżem, wznosząca się na czubie chłodnicy elektryzowała zdaleka ulice, wstrzymując na chwilę wrzący ruch. Wypadek!—wypadek! — słychać było głosy w przelocie.

W reglе wchodziła już wiosna — na odległym Gorcu zieleniły się hale, na Cyrli przechylały swe smukłe kielichy, liljowe i białe krokusy; od gór, z południa, szedł mocny, upajający powiew.

Tempo auta wzrastało ustawicznie, przechodząc niemal w wyścigowe — tam przecież, gdzieś wysoko w śniegach, może zamierające już, życie ludzkie, wołało pomocy.

Kładł się szaro-zieloną ścianą Capowski Las, wirowały serpentyny Wirchporońca, mignął graniczny most na Białce, uciekła wstecz w szalonym pędzie gajownia — jeszcze długa jak strzelił, aleja i zazgrzytały głucho hamulce — staliśmy przed mównicą przy Wodogrzmotach.



Ale domek był zamknięty — widocznie dróżnik wyruszył jeszcze przed nami, w górę.

W dolinie Roztoki było już śniegu niewiele i wodogrzmoty, perląc się tysiącem kropel, huczały rozgłośnie wiosenną pieśnią zwycięstwa; dopiero na hali przypięliśmy narty. Ponad górną granicą lasu odsłonił się widok na zaśnieżony żleb Krzyżnego. Nie było w nim widać żadnych śladów ni ludzi, tylko w przejściu do Buczynowej czerniło się świeże zerwisko lawinowe po potężnej desce śnieżnej, która przeleciawszy przez kosówki, zastygła w dolnej części żlebu.

Ani chybi, taternicy! — mruknął kierownik, chowając lornetę.—Schodzili pewno tą boczną grańką i chwyciło ich u dołu. Mając tak szczupłe informacje telefoniczne, musimy wpierw zbadać cały żleb z otoczeniem—przecież gdzieś będą jakieś ślady! Gdzież wreszcie znajduje się człowiek, prawdopodobnie uratowany uczestnik katastrofy, który telefonował o wypadku?

Zbadawszy zastygłą lawinę, poczęliśmy się wspinać grzędą do góry. Liczne zakamarki śmiercionośnego koryta były wymiecione prawie zupełnie. Gdzieniegdzie spiętrzało się kilka luźnych brył zlepionej mokrym śniegiem kosodrzewiny, gdzieś wyżej wyrwanej przez rozszalały śniegospad; górne partje dyszały ponurą tajemnicą.

Jeszcze poniżej Buczynowej rozdzieliliśmy się. Pozostałem sam, by przeszukać okoliczne pola kosówki, w które, wolno tu jeszcze sunąca lawina, mogła wbić któregoś z uczestników katastrofy. — Na całe życie utkwiła mi w mózgu owa godzina mrokliwego popołudnia wiosny.

Przechodząc przez żlebisko, wspiąłem się na sterczący w jego środku, potężny głaz i spojrzałem w górę ku towarzyszom. — Posuwali się w monotonnym pobrzęku czekanów...

I spostrzegłem wówczas, jak szeroki nawis śnieżny, drzemiący okrakiem na przełęczy od długich tygodni — drgnął nagle w zalewającem go morzu słońca i porywając za sobą falę śniegu — sunąć począł żlebem w dół...

Zapóźno! zapóźno! — szepnęły zbielałe wargi i w chwilę potem biała rzeka, porywając głazy i łamiąc kosówki, przewaliła się żlebem w piorunnym huku i łoskocie. Pęd powietrza omal nie zerwał mię z niklej wysepki potężnego głazu, której się kurczowo trzymałem.

Lawina umilkła w Roztoce, gdy do żlebu stulała się od przełęczy mgła i „głos Ignaca" zaczął w niej wzywać rozpaczliwie i gdzieś obok... ratunku... — Lecz nie dałem zwabić się w dno żlebu! — dobrze czułem, iż usta mych towarzyszy zamilkły przed chwilą — już na zawsze. Przywiązawszy się liną do opiekuńczego głazu w grzędzie, czekałem. Zerwał się ciepły podmuch gdzieś od Pięciostawów i przepędził mgły; słońce zstępowało coraz niżej ku graniom i ostre cienie zachodu spływały po dokolnych ścianach.

I nagle... — rozszalał się z powrotem cały żleb. Białe potoki pędziły weń z wszystkich stron, sypały się z pod Wołoszyna i Kopy, spływały każdym żlebem i rynną. Ogarnęło mię huczące morze, by cisnąć w ślad za „tamtymi". Bryzgi śniegu, kłębiącego się w obu ramionach żlebu, biły po twarzy, ślepiąc i zalepiając usta, ciśnienie powietrza targało mną, uderzając o głazy — zdało się niepodobieństwem ostanie na wychylającej się ledwo skale...

Ale lina wytrzymała — żleb ucichł wreszcie, wymieciony ze śniegu — późnym wieczorem dotarłem do Roztoki.

Nazajutrz, gdy złote strzały słońca godziły właśnie w szczyt Koziego Wierchu, dokopaliśmy się w zastygłem rumowisku brył śnieżnych — swych czterech towarzyszy: Ignac jakby się uśmiechał żałośnie, a kierownik, zapatrzony pod siebie, w głąb śnieżną, zacisnął swe dłonie, zdając się jeszcze w ostatniej chwili grozić komuś...

* * *

Opowieść naszego nieznajomego przerwał jakiś daleki łoskot, który szybką gamą przeszedł w grzmot i wreszcie w potworny huk, płynący gdzieś z nad Roztoki, jakgdyby cały Wołoszyn przewalił się na któryś bok.

Nieznajomy drgnął lekko, jakby przeszłość cała wróciła mu przed oczy i rzekł głucho, rękę wyciągając w stronę odgłosu, płynącego przez przestworza:

— Słyszycie!? — to znowu odgraża się „ono" — djabelskie Krzyżne!



Pociąg osobowy zasypany śniegiem koło stacji Skwarzawa na linji Lwów-Podwołoczyska.



Oczyszczanie ze śniegu dworca towarowego we Lwowie zapomocą pługów.

JAK NASZE KOLEJE WALCZYŁY ZE ŚNIEGIEM

Niełatwem jest zadanie kolei, gdy chce nietylko dotrzymać każdej minuty rozkładu jazdy, ale wogóle nie dopuścić do przerw w komunikacji. Jedną z najpoważniejszych przeszkód ruchu jest niewątpliwie zaspa śnieżna...

Gdy pada śnieg, zapowiadając radość dla zwolenników nart i saneczek, wtedy dla kolei nastaje okres kłopotów i wytężonej pracy. Biały żywioł pokrywa tory i niebezpieczeństwo rośnie z każdą chwilą opadu. Na otwartych przestrzeniach trasy wiatr wydmuchuje z śniegu twarde zwały ustawicznie powiększające się i pierwsze przeszkody są gotowe. Znikają pod śniegiem szyny i niedaleką jest chwila, kiedy najsilniejszy parowóz utknie bezradnie w lotnym, a jednak dziwnie nieprzenikliwym w swej masie puchu.

Kolej broni się przeciw niebezpieczeństwu wszelkiemi sposobami. Jeszcze latem — w przewidywaniu zasp śnieżnych — buduje się na wywieiskach zasłony i wzdłuż toru, całemi kilometrami sadzi się gęste żywopłoty. Urządzenia te jednak dają tylko częściowe zabezpieczenie. Gdy rozpęta się burza śnieżna i zacznie gęsto „sypać", wtedy każda chwila jest groźna i każda drogocenna dla pracy.

Hasłem staje się wtedy: przedewszystkiem nie dopuścić do zasypania toru! Odkopywanie bowiem zasypanej trasy, nawet przy pomocy doskonałych urządzeń technicznych, wymaga czasu, a czas jest na kolei nieubłaganym i wymagającym władcą.

Dąży się więc przedewszystkiem do utrzymania toru kolejowego w stanie zdatnym dla przebiegu pociągów. Osiąga się to przez utrzymanie możliwie częstego ruchu na zasypanym torze. Przejazd ten czyści tor i szyny są wolne od śniegu.

Często jednak żywioł silniejszy jest od usiłowań ludzkich i bardziej uparty. Zbroją się wtedy parowozy w pługi torujące i działać zaczynają miotełki, umieszczone przed przedniemi kołami. Gdy jednak zwiększa się opad, to i te sposoby stają się bezsilne...

Wtedy staje do walki ze śniegiem specjalny pług, zbudowany w kształcie wagonu. Działa on przedewszystkiem swą budową. Potężne podwozie opancerzone jest z przodu w klin i pracuje, jak taran. Zbudowany na podwoziu kryty wagon, zawiera mechaniczne urządzenia, służące do odstawiania w czasie jazdy bocznych skrzydeł, podczas gdy lemiesz na przodzie toruje drogę. Płużący ten wagon, pracujący przedewszystkiem masą, popychany jest z tyłu przez silny parowóz. Ma on nieraz tak ciężką pracę, że staje bezsilnie. Trzeba cofać się i atakować znowu po wielekroć razy.

Występuje wreszcie na widownię pług rotacyjny. Prócz zwykłych urządzeń płużących, ma on z przodu wielkie śmigło, szybko obracające się. Porywa ono śnieg z toru i odrzuca daleko na boki i w górę. Olbrzymia biała fontanna miecionego śniegu znaczy postęp walki takiego pługu z zaspą śnieżną.

Przeróżne są urządzenia do odpłużania ze śniegu torów kolejowych. W interesie nerwu życia — komunikacji — nie szczędzi się ofiar. Wysila się mózg konstruktora i zaprzęga do pracy wielkie moce mechaniczne. A jednak — nie zawsze toczona ze śniegiem walka przynosi odrazu zwycięstwo dla kolei. Mimo wszelkich wysiłków, torowisko tonie coraz głębiej pod śniegiem i wkońcu ruch zamiera na długie dni, a nieraz nawet na całe tygodnie. Trwa wtedy żmudna praca odkopywania.

W bieżącym sezonie zimowym — z końcem lutego i na początku marca, miała nasza kolej nielada pracę wskutek zawieji śnieżnych i mrozów. Mimo to ruchu prawie nigdzie nie przerwano, co dowodzi wielkiej sprawności naszego kolejnictwa

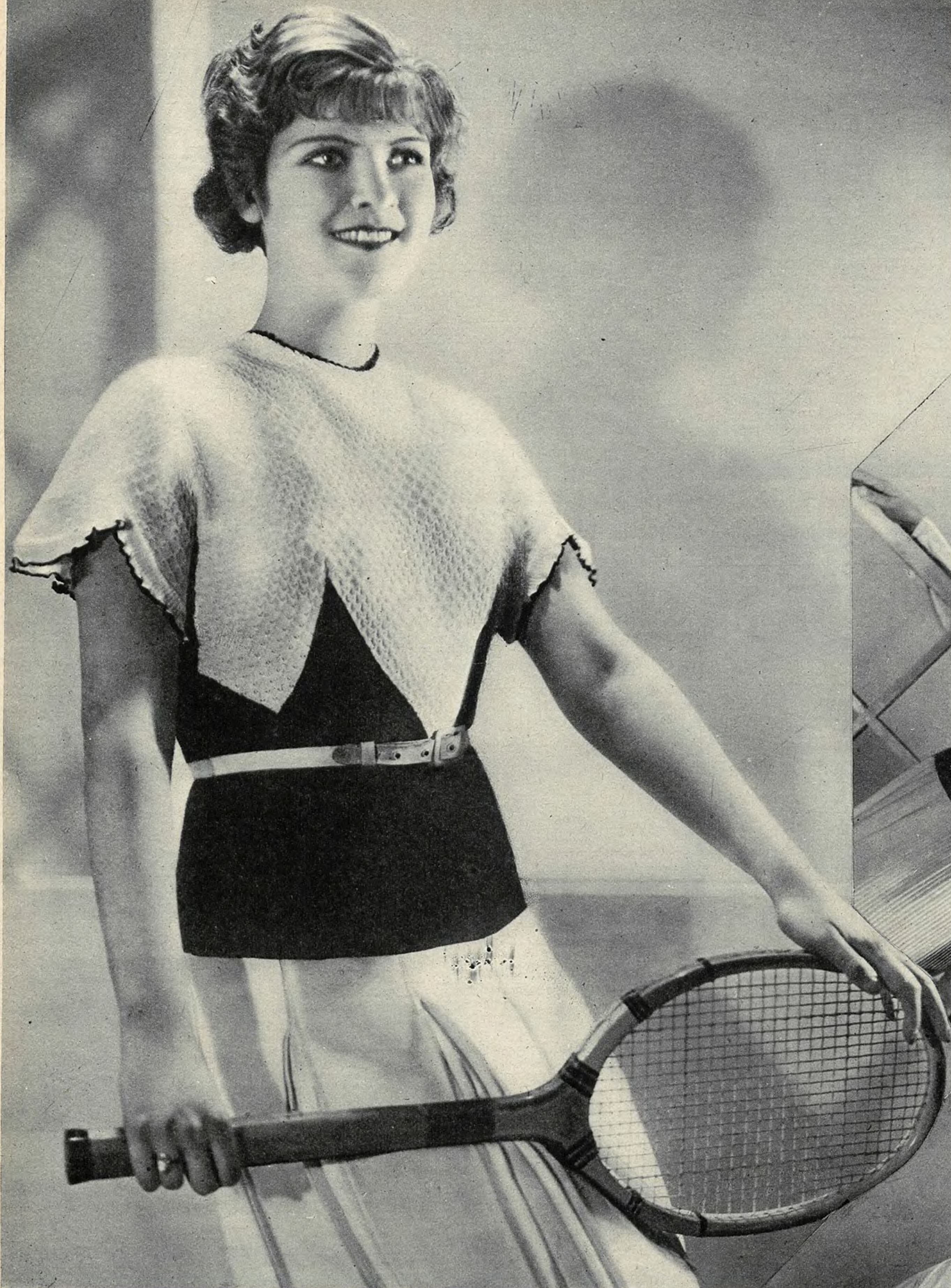
F.

Wszystkie zdjęcia Ag. fot. „Światowida".

Poniżej: Pług wirowy wśród zasp śnieżnych na linji Tarnopol—Zbaraż.



WIOSNA NA KORCIE I DANCINGU.



Biały kostjum tenisowy z efektownym jumperkiem, kombinowanym z lekkiej czerwonej wełny i szydełkowanej górnej części. Krótkie rękawki wykończone ryszką plisowaną.



Poniżej: Plisowana spódniczka z białej wełny, jedwabna bluzka z krawatem pod szyją i sweter niebieski z białym, stanowią efektowny strój tenisowy.



Poniżej: Praktyczna kamizelka wełniana do tenisa, w kolorze białym lub kremowym, z poprzecznym pasem czerwonym lub granatowym. Krawat dostosowany do kamizelki.

Nizzą, w marcu.

Pławimy się poprostu w powodzi słońca, zieleni i najróżnorodniejszych kwiatów, które tu wiosną kwitną jak oszalałe, zadziwiając mnogością i intenzywnością barw i kształtów. A nad tem wszystkiem błękitny strop niebieski, zlewający się na widnokręgu z szafirem morza, prawdziwego Cote d'Azur.

Z mnóstwa atrakcyj pierwszego sezonu wybieram tenis, jakoże w międzynarodowym turnieju widnieją nazwiska polskich uczestników: Jędrzejowskiej i Tłoczyńskiego. Nie wdając się w ocenę ich gry, cieszę się, gdy wygrywają i obserwuję ubiory pań i panow, aby Czytelnikom „Światowida" napisać o tem, co się tu nosi.

A więc na kortach króluje kolor biały i kremowy, ożywiony barwnemi plamami swetrów i kamizelek, utrzymanych w jasnych barwach, czerwonych lub niebieskich, lub też ozdobionych pasami i zygzakami w tych kolorach. Sportowe czapeczki w rodzaju marynarskich kepi, lub siateczki z daszkami osłaniają głowy. W powietrzu migotanie rakiet i piłek tenisowych, szybkie, zdecydowane ruchy rąk, to znów gonitwa za piłką i zwinne skoki... Promienie słońca złocą ten ruchliwy obrazek, pełen wdzięku i żywości, obramowany zielenią trawników i okwieconych drzew.

W południe na promenadzie rewja wiosennych kostjumów, o filigranowych żakiecikach, krótkich, coraz krótszych, sięgających już tylko do pasa. Wykonane są z miękkiej wełny, zupełnie odrębnie dziś tkanej, niemal przeźroczystej, mimo mięsistej konsystencji materjału. Włochate, groszkowate lub ażurowane, utrzymane w jednolitych, zdecydowanych kolorach, tworzą te wełny ładne kreacje wiosennej mody, która za hasło obrała sobie jednokolorowość ubioru, aby móc go ożywić najfantastyczniej barwnym szalem lub krawatem, ładnie otaczającym główkę kobiecą. Dla uzupełnienia całości kapelusik, nieprawdopodobnie już malutki, ledwo trzymający się głowy i przybrany najchętniej pękiem kwiatów.

Na wieczór zmiana tualet — tutaj obowiązkowa, a nie można powiedzieć, by była niemiłą, bo któraż z pań nie lubi ukazać się wieczorem w pełnym splendorze wieczorowj sukni...

Długie do kostek tualety wieczorowe nie zniknęły z ustąpieniem karnawału. Do teatru, na dancing, czy wieczorem w restauracji suknie te widzi się wszędzie. Są mniej ekscentryczne aniżeli w karnawale, ale nie wracają do dawnej prostoty, owszem strojnie wykończone są falbankami i riuszkami, przybrane wspaniałemi kwiatami, tworzą one piękne tło dla urody kobiecej.

A kiedy księżyc zejdzie na granatowym nieboskłonie i zajaśnieją mocnem światłem migotliwe gwiazdy, odbijając się w przepastnej toni morskich wód — wywabione urokiem ciepłych wieczorów, zjawiają się na wybrzeżu i na molo przytulone pary. Na wieczorowych sukniach pań urocze narzutki z aksamitu, przybrane futrami.

Łagodne światło księżyca srebrzy wszystko dokoła i dodaje uroku przesuwającym się postaciom. Może dlatego wyglądają tak pięknie... może dlatego wpadam w nastrój i wszystko mi się podoba... Może...

DO X.



Na prawo: „Czy Pani tańczy rumbę?"...— Tańczymy dziś w najskromniejszych, a nawet sportowych strojach. Przecież najpiękniej wygląda taniec w odpowiedniej tualecie.



Na prawo: Ta śliczna sukienka, wykonana z niezliczonej ilości falbanek, przylega całkowicie do figury w swej górnej części i przybrana jest efektownie pękiem dużych aksamitnych kwiatów na ramieniu.



Poniżej: Kapelusz przechodzi różne ewolucje. Ale czy dla wdzięcznej główki kobiecej nie najpiękniejszem tłem jest duży miękko wyginany kapelusz z pękiem kwiatów nad czołem?

Znakomita, włoska gwiazda filmowa, Carmen Boni.
Fot. Paramount.

KĄCIK FILMOWY.

FILM W ITALJI.

Faszyzm rozumie doskonale, czem jest kino. „Panem et circenses“ — wołały wieki temu tłumy w Romie. Obecnie wołają daleko większe rzesze całego społeczeństwa: „do kina!“. Znane są przecież wypadki, że nieraz idzie się do kina kosztem... chleba...

Kino stało się międzynarodową potęgą, działającą najsilniej ze wszystkich sztuk i jest tą jedną ze sztuk — poza radjem — która w najściślej demokratycznych zasadach rozwija kult piękna — a przynajmniej rozwijać go powinna i o to się stara w swych najlepszych przejawach — i która dociera wszędzie tam, gdzie dotrzeć nie jest w stanie poezja, plastyka, czy nawet czysta muzyka.

To też w programach politycznych ekspanzyj wewnętrznych czy propagandowych na zagranicę, wiele państw umieściło kino na pierwszorzędnem miejscu. To najsilniej daje się zaobserwować w Bolszewji, gdzie filmem wyraża się dobitnie to wszystko, co trudno byłoby wyrazić słowem czy kształtem malarskim. Istnieje cała obfita produkcja filmowa sowiecka pod kontrolą rządową, która idee bolszewickie podsuwa w formie czystego wyrazu sztuki filmowej.

Podobnie dzieje się teraz w faszystowskiej Italji. W jednej ze swych kinowych wypowiedzi, Mussolini wyraził dobitnie swe życzenie — swój rozkaz pod adresem włoskiej produkcji filmowej: kino ma wychowywać obywatela włoskiego w duchu i zrozumieniu ideologji faszystowskiej.

W tem poleceniu „duce“ leży powód cyklu niedawno wyprodukowanych obrazów włoskich o charakterze batalistycznym i filmów, ukazujących, jak obywatel powinien żyć, by przynosić korzyść ojczyźnie.

Faszyzm wziął więc w swe ręce przemysł filmowy Italji. Silnym sprawdzianem tego jest stworzenie wielkiego koncernu filmowego „Cines“, który zebrał w szeregach swoich pracowników najlepsze włoskie siły reżyserskie, aktorskie i techniczne. Oczywista praca twórcza „Cines‘u“ wyda owoce już w najbliższych miesiącach, wyrównując poziom obecnej produkcji italskiej z założeniem ideologji faszystowskiej.

Produkcja włoska przed faszyzmem miała swój dobry wyraz w wielu filmach bardzo artystycznych, jeszcze w okresie „niemym“. Miała zawsze bardzo dobrych artystów i niezły sztab techniczny, a jako naturalne kulisy — wspaniały krajobraz, który sam nasuwał momenty akcji i mógł stanowić jej znaczną część. Zawodziła tylko pod względem reżyserskim. W każdym razie wyprodukowała szereg niezgorszych obrazów, które jeszcze niedawno z zaciekawieniem i satysfakcją można było oglądać na ekranach zagranicznych. Do Polski jednak filmy te nie docierały, stąd więc te mylne opinje u nas, że włoski film nie istniał lub tylko miał bardzo słabe akordy.


Druga gwiazda włoskiego pochodzenia, urocza Battelini.

Publiczność włoska — jak wnosić można z nadchodzących stamtąd informacyj — interesuje się wciąż jeszcze filmem niemym, nieraz nawet jeszcze wcale nie udźwiękowionym. Pochodzi to stąd, że właśnie w okresie przesunięcia się punktu ciężkości kina z niemego do dźwiękowego i mówionego, włoska produkcja niema, która — jak wspomnieliśmy — stała na wcale niezłym poziomie, nie wytrzymała idącego musu chwili, znalazła się nieprzygotowana i — wprost przeciwnie, niż produkcja francuska — przycichła i upadła w nowych warunkach nowego kina. Dopiero ostatnia akcja, która znalazła szczytowy wyrz w założeniu „Cines‘u“, podźwignęła ją i pozwala się po Italji spodziewać silnego wypowiedzenia się filmowego, może nawet silniejszego, niż w dawnym filmie.

Wtedy też zapewne przejdzie w Italji film niemy do przeszłości i z ekranów kin rzymskich znikną obrazy takie, jak „Gwiazda czarnego stołu“, „Wampir morza“ czy „Nędznicy“, które dawno w innych społeczeństwach — nawet w tak filmowo zacofanem jak nasze — należą już do na zawsze odłożonych aktów minionej sztuki.

Rynek włoski zalany jest jeszcze obecnie produkcją amerykańską i niemiecką, przez którą z trudem przedostaje się niosący pochodnię prawdziwej i nowej sztuki filmu — film francuski. Po „Cines‘ie“ i po akcji kinowej Mussoliniego można się spodziewać, że italski film stanie na odpowiednim poziomie dzisiejszych wymogów i da i w tej dziedzinie piękną i silną kartę w księdze dziejów włoskiej sztuki. *W. Zech.*

CZY ZAKONNICY OPUSZCZĄ GÓRĘ ŚW. BERNARDA?



W ostatnich czasach pojawiły się pogłoski, że zakonnicy z Góry św. Bernarda w Szwajcarji zamierzają swoje hospicjum zlikwidować i przenieść się do Tybetu. Wobec rozwoju bowiem środków komunikacyjnych skazani są oni na bezczynność, nie mając komu nieść pomocy, gdyż dzisiaj coraz mniej jest turystów i podróżnych, błąkających się samopas zimą po Alpach. Ludzie bowiem jeżdżą koleją, albo samolotami, albo wreszcie na nartach. Jak wiadomo zaś, zadaniem zakonników z Góry św. Bernarda było m. i. odszukiwanie zaginionych podróżnych przy pomocy specjalnie tresowanych psów, które dla swojej pojętności i łagodności zyskały sobie sławę w całym świecie. Ponadto schronisko na Górze św. Bernarda było osobliwością, owianą urokiem legend i wspomnień i złączone z nieśmiertelną epopeją Napoleońską. Leży ono bowiem na szlaku, którym Napoleon zdążał przez Alpy do Włoch.

Na szczęście wszystkie te pogłoski o zamknięciu schroniska i emigracji zakonników do Tybetu okazały się fałszywe. Korespondentka nasza p. Stefa Schaffelhofer, dziennikarka szwajcarska, umyślnie wybrała się na Górę św. Bernarda, aby porozmawiać na ten temat z samym przeorem. Otóż przeor najkategoryczniej zaprzeczył tym wszystkim pogłoskom.

— Nie możemy — oświadczył — narzekać na brak gości, przeciętnie bowiem od 25 do 30.000 ludzi przechodzi w lecie przez przełęcz i zagląda do naszego klasztoru. Psy nasze także nie próżnują i w miesiącach zimowych, nawet tego roku uratowały już niejednego podróżnika. Królem naszych psów jest obecnie Iwo, godny następca słynnego Barry, który w swoim czasie uratował 41 osób. Zginął na posterunku, gdyż jeden z podróżnych, wziąwszy go o zmroku za wilka, zastrzelił z rewolweru.

Chlubną kartę w dziejach ratownictwa mają także psy Bellina i Pluto.



Zakonnik z psami specjalnie tresowanemi, w wyszukiwaniu zaginionych i zmarzłych turystów.



Rasowy przedstawiciel psów z Góry św. Bernarda.



U góry
Schronisko na Górze św. Bernarda na tle potężnego masywu Alp.

W kole:
Schronisko i klasztor św. Bernarda.

Logogryf wielkanocny.

Uł. L. Ciesielski czł. Warsz. Kl. Szar.

Zbliżają się święta, dni wielkiej radości...
Lecz na **trzeciej** jakoś dziwnie łzawo, smutno,
Płyną w niej jak **szóste,** potoki żałości —
Albowiem u wszystkich w kieszeni jest... płótno.
Pierwsze już to było **drugie** w dni świąteczne:
Każdy miał **szesnastą** jasną, uśmiechniętą,
Nie znał co **dwunasta,** co to troski wieczne,
Nie nazywał **ósmą** dolę aż — przeklętą...
Cóż — gdy los drwi sobie i biczem nas trzaska..
To też dziś **dziesiąta** trwa o byt mizerny —
Wielkanocna babka, szyneczka, kiełbaska,
Nie wszystkim dostępna... bo choć jak pies wierny
Służyć będziesz panu na **czternastych** łapach —
Nie oceni pracy, bo sam nie zna braku —
Wyciśnie sok z ciebie, aż poleci zapach —
A jak wynagrodzi — z głodu mrzesz biedaku!...
Czwarte pokolenia słusznie narzekają,
Że żyją w okresie **piętnastych** niedoli,
Że życia radości i piękna nie znają —
To też im **trzynaście** — tem więcej ich boli!
A że **Jedynasty** ma swe nerwy mocne,
Niech więc go **dziewiąta** w lepszą przyszłość zbroi.
Niechaj w **piątej** Polsce święto Wielkanocne —
Choć bez wina, ciasto — wszystkich nas ukoi!
Gdy **siódmy** pieśń zagra radosną, wesołą —
My też śpiewać będziem, choć w kieszeni... goło.

(Litery środkowe odnalezionych wyrazów (pięcioliterowych), czytane od góry do dołu dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy sylaby wyrazów logogryfu: bie, ca, da, da, daw, de, du, dwuch, dy, gan, ją, jen, ka, ki, kie, łak, lej, łej, mło, no, or, po, ra, rze, swo, szy, twarz, wal, wia, wo).

Za rozwiązanie niniejszego logogryfu redakcja „Świa towida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 40, druga zł. 25, trzecia zł. 15.

Rozwiązanie należy nadsyłać najpóźniej do dnia 2-go kwietnia 1932 r. wraz z załączonym kuponem

Rozwiązanie z Nr. 10

Roz-targ-nie-nie.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 10 nadesłali:

Trafne rozwiązanie z nr. 10 nadesłali: M. Lewicka, Wojniłow; Moliccy, Zbąszyń; W. Majchledówna, Warszawa; H. Hajnowa, Inowrocław; ks. L. Klementowski, Tarnopol; T. Kretkowski, Warszawa; Cz. Kalitowski, Kraków; Zdz. Fischbach, Września; H. Sobkiewiczówna, Poznań; J. Nosek, Kraków; J. Manber, Kraków; J. Zielenkiewicz, Kraków; A. Turowicz, Płock; Jawnuta, Słonim; Ir. Fiałkiewiczowa, Kielce; Oczko Reinhold, Kamień; „Marja Sz.", Kraków; St. Ciesielski, Poznań; XX. Kołomyja, ul. Wilsona 7; Bron. Sedlaczek, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; kpt. J. Sosenko, Dąbrowa; A. Berezowska, Lwów; Wł. Milianowicz, Jarosław; L. Jaworzyńska, Kraków; Wł. Pochmarski, Lwów; J. Jurkiewicz, Lwów; M. Ponomarenko, Łęczyca; Z. Baranowska, Gdynia; M. Czajkowska, Warszawa; J. Jaworzyński, Kraków; K. Smoczkiewicz, Kraków; J. Konopka, Czyżew; E. Unverricht, Pawłów; Miecz. Chortyński, Lwów; M. Urbanówna, Kraków; Bron. Heyduk, Kraków; „Ten, co nigdy nie wygrał"; Ir. Godlewska, Kraków; „Nina", Kraków; L. Bronner, Kraków; St. Rybarczyk, Czarnków; Stan. Leszczyński, Sosnowiec; Mietek z Żywca; Mr. T. Hubert, Żabno; J. Maziarz, Ozorków; dr. D. Lantner, Tarnów; M. Bigajski, Warszawa; H. Czubernatówna, Nowy Targ; H. Zasztowtowa, Katowice; „Ael", Sosnowiec; L. Zawadzki, Lwów; Cz. Zabłocka, Warszawa; „Ofiara kryzysu", Kraków; J. Maćkowiak, Krzywiń; J. Góral, Poznań; Edm. Błażejewicz, Poznań; I. Frezerowa, Ossówiec; Wład. Gajowa, Poznań; D. Bartnicka, Pabjanice; St. Bąkowski, Warszawa; M. Wiśniowska, Warszawa; M. Wolska, Hawłowice; Sz. Rybczyk, Rzeszów; J. Jarkiewiczówna, Łódź; L. P., Kraków; M. Gorzecka, Kraków; B. Ramułtowa, Jeżów; J. Trieskowa, Ostrów; J. Krzyżaniak, Poznań; J. Sierpniak, Inowrocław; Naumowicz, Brno; T. Larek, Śmigiel; T. Rakowska, Poznań; P. Karszo-Chmielewski, Warszawa; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; T. Narkiewicz, Gdańsk; dr Urbański, Gniezno; Ign. Jakubowski, Poznań; R. Ossowska, Bydgoszcz; A. Szeworski, Nowy Sącz; Gaspard, Warszawa; Klimczakowa, Warszawa; Ant. Bittnerowa, Jaworzno; por. Edw. Kreyser, Warszawa; W. Komorowska, Inowrocław; Zb. Ganszer, Kraków; Ir. Lewicka, Lwów; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; J. Drabik, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; Ewald Otremba, Rydułtowy; Wład. Boner, Lwów; por. Mirza-Kryczyński, Lwów; H. Zadarnowski, Dubno; „Orlando", Zborów; J. Partyka, Wilno; „Maryśka z Pohulanki"; R. Dergiman, Wilno; Z. Pieracki, Wilno; J. Tyblewska, Poznań; P. Ruksówna, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; H. Chmielewska, Starogard; H. Wasielewski, Ostrów; K. Kubiakówna, Ostrów; J. Dolniccy, Poznań; A. Szmytowa, Poznań; M. Domagała, Poznań; M. Sipowiczówna, Funiniec; Z. Lewensteinowa, Łódź; W. Raczyńska, Kraków; J. Pagowski, Kraków; L. Silberstein, Kraków; M. Zapiór, Kraków; A. Klohes, Kraków; H. Priesentówna, Czerwionka; **„Alila", Warszawa (zł. 40.—**, prosimy uprzejmie o dokładne podanie nazwiska); R. Fojcikówna, Głożyny; J. Brzycka, Hałcnów; E. Kowalski, Zakopane; E. Szumlakowska, Jarosław; Mich. Wysocka, Warszawa; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; dr H. Schnepf, Jasło; B. Bieńkowski, Lublin; Z. Polonez, Warszawa; K. Piński, Warszawa; T. Trąbczyński, Łódź; Z. Żukowa, Jędrzejów; M. Rundowa, Bielsko; Wł. Sowa, Dąbrowa Górn.; F. Gasiński, Zawiercie; L. Trepińska, Katowice; R. Goliński, Czortków; plut. M. Szymko, Podbrodzie; E. Pasierb, Tarnów; J. Schneiderowa, Wieliczka; „Rolly", Grudziądz; Ir. Kuczkiewiczowa, Czortków; E. Sawkiewicz, Sosnowiec; J. Ruta, Wieluń; B. Ohrt, Warszawa; Z. Procajłowiczówna, Kraków; M. Taras, Stryj; J. M. Brzozowska, Warszawa; A. Kostrzewska, Łódź; Z. Zieliński, Wieluń; W. Ossowiczowa, Piastów; T. Sobecki, Poznań; Jola Kowalczykówna, Łódź; Fr. Gierałt, Zamość; A. Urbankiewicz, Pabjanice; M. Kubiczowa, Poznań; St. Effert, Poznań; T. Berner, Bielsko; S. Wachtel, Tarnów; I. Alembik, Dzietzkowice; J. Reiter, Zamość; Z. Ajszpurowa z Królewszczyzny; J. Ajszpur z Królewszczyzny; **Władysław Iwaszek, Trzemeszno (zł. 25.—)**; J. Drewnicka, Lwów; St. Kornaszewski, Inowrocław; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; W. Mazurkówna, Warszawa; H. Puczkowska, Warszawa; kpt. J. Kapłon, Kraków; A. L. Ordza, Kraków; L. Siuda, Poznań; L. Świerczyński, Lwów; J. Wachtel, Lwów; T. Zubek, Cieszyn; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; R. Chromiński, Łuck; M. Żuchiewicz, Ostrowiec; W. Luxemburgowa, Płock; H. Ulanowska, Warszawa; Zb. Zieliński, Lwów; Morawski, Katowice; M. Wojtynowska, Bydgoszcz; K. Moszkowska, Wodzisław; K. Pająk, Targanica; D. Herbstmanówna, Warszawa; J. Wójtowicz, Kościelisko; W. Dadejowa, Warszawa; J. Miliński, Helenków; L. Pogoda, Jaworzno; J. Janosik, Łask; K. Ołpiński, Warszawa; Tadeusz Neumann, Jack, Heiber — Drohobycz; St. Zawadzki, Warszawa; Ir. Giersztówna, Gniezno; Cz. Giersztówna, Gniezno; B. Morgenbesser, Łoszniów; Ant. Witkowski, Poznań; A. Barowicz, Poznań; H. Dankowicz, Kraków; W. de Lippa, Warszawa; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; por. Fr. Podgorecki, Katowice; W. Pędzimąż, Zakopane; F. Zatorska, Warszawa; Seweryn Uzdański, Warszawa; Ir. Cucvasówna, Łęczyca; M. Waksmundzka, Jasło; I. Lewenstein, Warszawa; S. Kowalski, Pińczów; L. Moczyński, Wilno; C. Rączkowska, Łódź; H. Turowiczowa, Kraków; Ir. Muszyna, Kraków; Stan. Mucha, Kraków; J. Dobrowolska, Toruń; M. Poćwiardowska, Toruń; Ad. Lorenzówna, Toruń; Tad. Bromirski, Kobierzyn; Tad. Stupka, Kraków; H. Kalasiewicz, Kraków; M. Bazarnikowa, Kraków; M. Moszyńska, Lwów; N. Szternówna, Słonim; J. Rogowski, Warszawa; Stan. Heyman, Częstochowa; Franc. Adrjan, Podbrodzie; Gina Szutowiczówna, Nowa-Wilejka; J. Witoszyński, Inowrocław; M. Korzeniowski, Wadowice; Z. Boulangé, Baczków; J. Zdzitowiecki, Raciąż; P. Wolakiewicz, Kraków; A. Rotter, Kraków; A. Unger, Kraków; St. Rakowski, Poznań; Cz. Popielewski, Bydgoszcz; B. Kociuba, Kraków; Piekosiński, Prokocim; Stef. Łęcka-Kosmahłowa, Warszawa; E. Gałczyńska, Włocławek; St. Karolewicz, Warszawa; A. Poirro, Gostyń; J. Kawecki, Jaworzno; T. Stpiczyński, Włocławek; J. Głuchowska, Pińczów; Cz. Kozłowski, Warszawa; J. Makosikówna, Leżajsk; L. Gąsiorowiczowa, Łęczyca; „Dzikuska"; Ładarew, Bydgoszcz; B. Czech, Włocławek Z. Korzeniowski, Żywiec; H. Piotrowska, Żywiec; Br. Godziszewska, Mołodeczno; por. St. Godziszewski, Mołodeczno; **Roman A., Łódź, ul. Zgierska 29 (zł. 15.—**, prosimy uprzejmie o dokładne wyraźne podanie nazwiska); J. Strauss, Wilno; J. Toepperówna, Kraków; E. Rosenberżanka, Brzeziny; A. Kostyrka, Brześć; A. Świda, Warszawa; M. Lambachowa, Lublin; Kab. Hanus, Nadwórna; J. Borysowiczowa, Warszawa; Z. Marecka, Warszawa; Kaz. Jurkiewicz, Śniatyn; St. Kr., Stanisławów; K. Haluch, Lwów; T. Zapolski, Jarosław; Jurek z Królewszczyzny; Halka z Królewszczyzny; J. Łukomska, Glinojeck; J. Sroczyńska, Złoczew; M. Cesarczykówna, Kraków; Z. Cesarczyk, Kraków; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; H. Skalska, Brzesko; H. Weinberger, Pilzno; L. Rosiński, Poznań; K. Sztorc, Kraków; W. Mackiewicz, Dubno; B. Szmidt, Dąbrowa Górn.; K. Puchowicz, Warszawa; H. Frankowska, Bitków; A. Papée, Katowice; „fes" z Zawiercia; Ant. Szuksta, Warszawa; M. Rydel, Piotrków Tryb.; W. Mączka, Tarnobrzeg.

W losowaniu o nagrody, los padł na pp.: „Alila", Warszawa (zł. 40.—), Władysława Iwaszka, Trzemeszno (zł. 25.—), i Romana A., Łódź (zł. 15.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

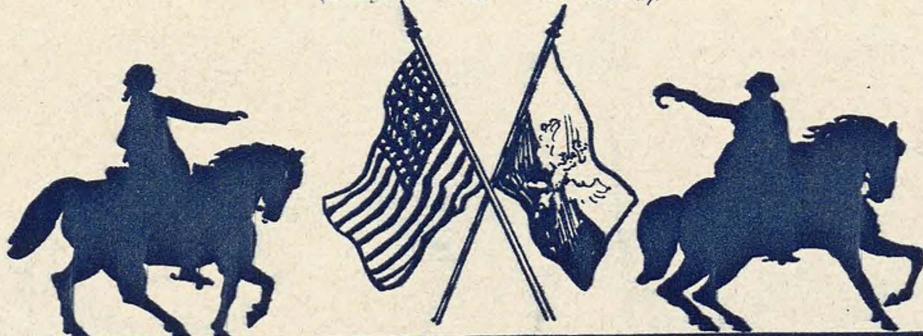
Do naszych Czytelników w Stanach Zjednoczonych A. P.

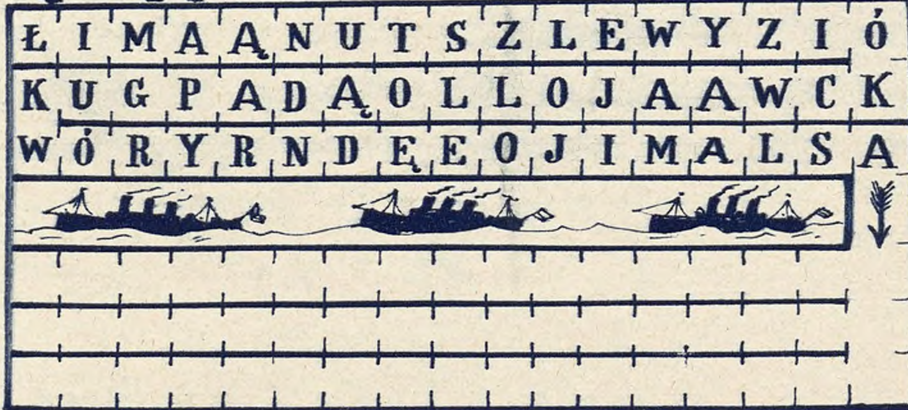
„Światowid" prowadzi dział szarad, rebusów i krzyżykówek, za których trafne rozwiązanie przeznacza nagrody.

Chcąc także i Wam, kochani Rodacy w Stanach Zjednoczonych, umożliwić branie udziału w tej miłej i korzystnej rozrywce, będziemy odtąd zamieszczać odrębne szarady dla Was i traktować Was zarazem jako oddzielną grupę, t. zn. rozwiązania, przez Was nadsyłane, poddawać osobnemu losowaniu, przeznaczając też i specjalne, dla Was tylko przeznaczone nagrody.

Anagram „gęsiego" dla Czytelników w Stanach Zjedn. A. P.

(ułożył Z. Tietz — Warszawa).





Puste kratki należy zapełnić podanemi literami tak, aby można było w kierunku poziomym odczytać rozwiązanie. Litery należy przesuwać po jednej kolejno, czyli pierwszą literę „A" należy przesunąć do krańcowej kratki w jednym z trzech rzędów. Następną literę „S" należy umieścić albo w ostatniej kratce innego rzędu albo w tym samym rzędzie tuż przy literze „A". W dalszym ciągu należy postępować w ten sam sposób. Przy przesuwaniu liter jest stosowana pewna metoda.

Za rozwiązanie anagramu „gęsiego", zamieszczonego w tym numerze, przeznaczamy w nagrodę dzieło albumowe p. t.

„DZIESIĘCIOLECIE POLSKI ODRODZONEJ"

o wartości rynkowej 10 dol., które opatrzymy **specjalną dedykacją** od redakcji. Będzie ono rozlosowane tylko pomiędzy Czytelników ze Stanów Zjedn. A. P. — tych oczywiście, którzy nam trafne rozwiązania na czas nadeślą. Ponadto nazwiska i adresy wszystkich, którzy nam rozwiązania nadeślą, będą podane w „Światowidzie".

Termin nadesłania rozwiązania anagramu w tym numerze zamieszczonego 12 maja br. Adresować: „Światowid" Kraków (Poland).

— Nie rozumiem, dlaczego pani żąda 60 zł. za taki kapelusik, kiedy ten co mam na głowie kosztował zaledwie 10 zł.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

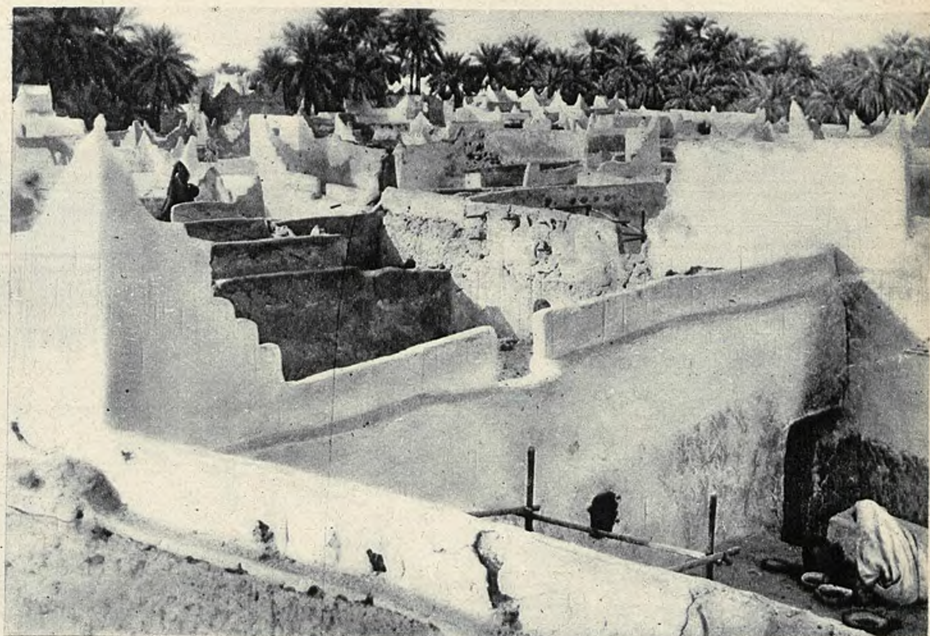
KUPON Nr. 13 upoważniający do

ROWEREM PRZEZ TRYPOLITANJĘ.

Z przygód Wielkopolanina w oazach Libji.



Wielkopolanin p. Kazimierz Nowak podróżujący rowerem po Trypolitanji przyrządza sobie obiad u murów oazy Derdż.



Gedames, oaza w południowej Trypolitanji.

Rozpocząłem daleki lot rowerem, przez południową Tripolitanję — która dopiero w ostatnich miesiącach stała się dostępną dla osób nienależących do armji. — Niedawno jeszcze i tu, w Nalut — gdzie od wczoraj bawię, grzmiały armaty — a klekot kulomiotów potężnem echem odbijał się o strome stoki gór Gebel es Soda (góry czarne). Dziś ucichło trochę — zaczęła się praca — buduje się drogi — domy wyrastają jedne po drugich.

Właściwie to tylko nadmorski pas Tripolitanji — obudził się do życia — zazielenił ogrodami — miljony drzew szeleści liściem — wiodą piękne asfaltowe drogi, a cały szereg studni towarzyszy turyście. Podziwiać można rozmach i twórczość ludu italskiego — organizację — a przedewszystkiem chęć czynu — pracę dla pracy, a nie dla natychmiastowych zysków. Patrząc na ten pas pobrzeża, zrozumieć można, dlaczego Mussolini stara się o powiększenie ludności Włoch, dlaczego w Italji premjuje się dzieci i całym szeregiem praw chroni rodziny liczne. Tu bowiem zakłada się drugą zamorską Italję — ogród i spichlerz tamtej europejskiej.

Podróż przez tę nadmorską Tripolitanję to prawdziwy spacer — rower gna po gładkim asfalcie — aż do Bu Gheilau, małej oazy, leżącej u stóp stromo piętrzących się skał jedynego łańcucha górskiego Tripolitanji. Góry te zwą się Gebel i biegną półkolem od zatoki Wielkiej Syrty nad Morzem Śródziemnem, aż do granicy Tunisu. Mimo, że najwyższy szczyt tych gór, „Ras Garian" sięga 840 metrów ponad poziom morza, klimat okropnie ostry. Żadne wichry nie ominą tych gór, a drzewa zaledwie w niedostępnych jarach dawnych rzek rosnąć mogą swobodnie. Najciekawsze w tych górach jest to — ze ludzie zamieszkujący te szczyty, nie mieszkają w domach, ale



Wypoczynek na piaskach pustyni po całodziennej podróży.

w głęboko bitych grotach, tak, że ktoś niewtajemniczony ma wrażenie zupełnej pustki.

Powodem tego podziemnego budowania jest tylko klimat — a właśnie taka grota to jedynie możliwe mieszkanie czy to latem, gdy temperatura sęga 60 st. C ponad 0, czy zimą, kiedy mroźne, pustynne wichry swawolnie hulają. W grocie zawsze zacisznie — trochę mrocznie — ale Arab czy Berber, mieszkaniec tych gór, tak mało od życia wymaga, że czuje się mimo nędzy zupełnie zadowolony.

Droga od Bu Gheilau wspina się wysoko na szczyty — nowa droga — dopiero w budowie. Widoki z góry czarujące — na całą Gefara-dolinę. Zjeżdżam na Gefara i znowu koło Nalut osiągam szczyty Gebel Nefusa. Cała droga biegnie przez stepy — pustynne całkiem — miejscami tylko zobaczysz koczujące szczepy — które na los szczęścia zasiały jęczmień na możliwszych pod uprawę kawałkach stepu — i jak zbawienia oczekują deszczu — który od dwu lat nie pada, mimo, że czarne żony koczowników obnoszą po polach zasianych na drewnianym krzyżu upięte szaty kobiety arabskiej, by w ten sposób uprosić Dobre Duchy o życiadajny dla zasianych jęczmieni deszcz.

Droga ciężka — właściwie bezdroża biegnące stepem. Wodę trzeba wozić ze sobą — przeważnie deszczową, w cysternach od dawna leżącą. Noclegi na bezludnym stepie — samotnie — pod namiotem — który często wiatr zrywa, jedynie paliwa dość — przeważnie krzewy cierniowe, które płonąc, tak mile wonieją, że aż się nie chce odejść od ogniska. Noce zimne, wprost mroźne, zato dniem nieraz tak upalnie, że tchu brak w piersi.

Zwierzostan nie bogaty, choć nocą wilki pod namiot docierają, gdzieś dalej płaczliwie zawodzą szakale — hjena im odpowie — kruk zakracze. Żmije jadowite i skorpiony śpią pod głazami.

Z całej drogi od Tripolisu (około 500 km) najciekawszy jest Nalut-fort i miasto Berberów — podziemne, niewidoczne prawie — nad którem góruje stary (ponad pięć wieków) zamek. Oryginalny brakiem stylu, ot. budowany tak sobie — przez setki rodzin — komórka nad komórką — wysoko strzelający w niebiosa — żadnych okien nazewnątrz — jedne tylko drzwi wiodą do wnętrza. Warowny ten spichlerz służy do przchowywania zapasów jęczmienia, traw, daktyli i oliwy oraz innych sprzętów i dobytku okolicznych Berberów — potomków dawnych chrześcijan, którym Arabi przemocą narzucili najpierw religję Mahometa, a potem rozkradać chcieli ich mienie.

W razie napadu szczepów arabskich, Berberzy wraz z rodzinami i inwentarzem kryli się do tego zamku — i łekko mogli przetrwać choćby nawet długie oblężenie, mając i zapas wody, paliwa, żywności i wszystkiego, co do życia potrzebne. A bramę wtedy strzeżono z góry — i rzucając kamieniami — odganiano napastników.

Do dziś dnia komórki te służą za spichlerz dla Berberów — mimo, że napadu nie potrzebują się już obawiać, bo ponad miastem radośnie trzepoce trójbarwna chorągiew, poruszana pustynnym wichrem, z krzyżem Savoja w pośrodku.

Kazimierz Nowak.



„Askari", żołnierz tybylczy z Trypolitanji, czuwający nocą przed namiotem podróżnika.



Poranna modlitwa Arabów na stepie Libji.

Wszystkie zdjęcia fot. KAZIMIERZ NOWAK.



Wesołego Alleluja!